Rudolf
KOŁCZANOW

W LABIRYNTACH REWANŻYZMU

Rudolf
KOŁCZANOW

W LABIRYNTACH REWANŻYZMU



Rudolf
KOŁCZANOW

W LABIRYNTACH REWANŻYZMU

40 rocznica procesu głównych hitlerowskich przestępców wojennych w Norymberdze

Wydawnictwo
Agencji Prasowej
Nowosti
Moskwa 1986

SPIS TREŚCI

KARA W SIEDLISKU OPRAWCÓW 3

REWANŻYŚCI PODNOSZĄ GŁOWĘ 15

GRUPOWE ZDJĘCIE ZE SWASTYKĄ 29

PUSZKA BOŃSKIEJ PANDORY 45

1. Za partyjnymi parawanami 47
2. „Grupy amatorów strzelectwa" 53
3. „Front" rusza do szturmu 60
4. Czarna gwardia Hitlera 63
5. Marsz naprzód drogą wiodącą wstecz 68

NIEBEZPIECZNA POGOŃ ZA ZŁUDNYMI MRZONKAMI 75

STAWIANIE NA BUNDESWERĘ 91

NIE UDA SIĘ COFNĄĆ KOŁA HISTORII 103

4130

Przełożył z rosyjskiego Witold Kuiesza

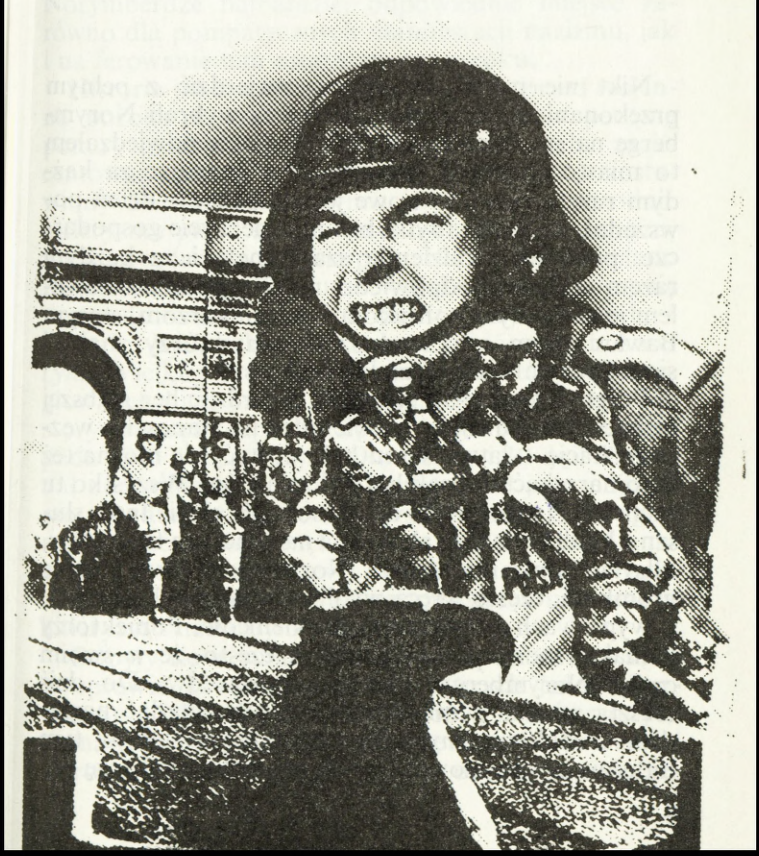
Рудольф Георгиевич Колчанов
В ЛАБИРИНТАХ РЕВАНШИЗМА
на польском языке
Цена 30 коп.

080400000

© Wydawnictwo Agencji Prasowej Nowosti, 1986

Broszura wydana w języku angielskim, czeskim, francuskim, holenderskim, polskim i słowackim

KARA W SIEDLISKU OPRAWCÓW



Nikt nie może dotychczas stwierdzić z pełnym przekonaniem, dlaczego hitlerowcy wybrali Norymbergę na swą metropolię. Wielokrotnie odwiedzałem to miasto w latach powojennych, poznając za każdym razem coraz to nowe jego aspekty — dzień powszedni, muzea i zabytki historyczne, życie gospodarcze, piwiarnie, codzienną szarzyznę — i za każdym razem szukałem odpowiedzi na to pytanie, zadawałem je znajomym politykom i dziennikarzom, starym Bawarczykom oraz cudzoziemcom, którzy znaleźli się w Norymberdze zrządzeniem losu.

Pragmatycy kiwali głowami, twierdząc bez głębszej pewności, że miasto z dawien dawna stanowiło węzłową stację — łatwo się tu było dostać, nie można też było narzekać na brak hoteli i zajazdów. Wszystko tu zachęcało tym samym do masowych akcji. Inni, słusznie kładąc większy akcent na nacjonalizm faszystów, odsyłali mnie do historii Norymbergi, związanej z gromkimi, często wręcz wyolbrzymianymi legendami o wyprawach i zwycięstwach Niemców. Poniektórzy jednak wspominali, i to niezbyt często, że w swoim czasie Norymberga słynęła z oprawców. Do dziś zresztą można w miejskich muzeach oglądać narzędzia średniowiecznych tortur. Czy myśleli o tym hitlerowscy bonzowie, wybierając Norymbergę na

miejsce swoich brunatnych zlotów, tak zwanych parteitagów, histerycznych mityngów i groźnych marszów z pochodniami? Hitlerowcy zawsze przywiązywali szczególne znaczenie do pogromowej symboliki, doszukując się jej w najbardziej ponurych epokach teutońskich podbojów. Jeśli wszakże nie zmierzali do tego z rozmysłem, to jednak sama historia, ustalając ścisłą wewnętrzną więź między niemieckimi oprawcami czasów minionych i hitlerowcami, znalazła w Norymberdze najbardziej odpowiednie miejsce zarówno dla pompatycznych manifestacji nazizmu, jak i na ferowanie nań ostatecznego wyroku.

Historia jakby z rozmysłem ustrzegła przed wojenną pożogą w tym mieście obróconym w perzynę ponury gmach Pałacu Sprawiedliwości, żeby zaakcentować ruinami występny ślad faszyzmu, pozostawiony na naszym kontynencie, i potępić zbrodnie hitleryzmu przed sądem narodów. Na mocy porozumień poczdamskich 8 sierpnia 1945 roku powołano Międzynarodowy Trybunał Wojskowy składający się z przedstawicieli czterech państw sojuszniczych — Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych Ameryki, Wielkiej Brytanii i Francji — w celu osądzenia głównych hitlerowskich przestępców wojennych. Historyczny sąd rozpoczął się w Norymberdze 20 listopada 1945 roku, trwając 10 miesięcy i 10 dni. Trybunał norymberski ujawnił i napiętnował jako najcięższe zbrodnie szaleńcze zamiary faszystowskich agresorów, którzy wciągnęli własny kraj i dziesiątki innych państw do krwawej wojny światowej w celu ujarzmienia narodów oraz ugruntowania panowania hitleryzmu nad całym światem.

Odbyły się w sumie 403 otwarte posiedzenia sądu w sprawie 22 oskarżonych, z których jeden (Bormann) był skazany zaocznie. Oprócz 19 oskarżonych zeznawało 33 świadków oskarżenia i 61 świadków obrony. Dalszych 143 świadków obrony złożyło ze-

znania na piśmie, odpowiadając na zadane im pytania. Przedłożono 38000 dokumentów dotyczących politycznego kierownictwa hitlerowskiego reżymu; 136213 — SS; 10000 — SA; 7000 — SD; 3000 — Sztabu Generalnego i hitlerowskiej generalicji oraz 2000 dokumentów dotyczących gestapo.

Należy się tu Czytelnikowi kilka wyjaśnień, co się kryło za tymi złowrogimi skrótami:

SS — paramilitarna organizacja partii hitlerowskiej, jeden z głównych filarów reżymu faszystowskiego w Niemczech. Powstała z niewielkiej grupy ochrony Hitlera. Po zdobyciu władzy przez hitlerowców połączyła się właściwie z państwowymi organami ścigania i terroru. Pod kontrolą SS znalazł się cały aparat penitencjarny hitlerowskich Niemiec. W 1934 roku sformowano specjalne jednostki, a następnie dywizje SS. W 1944 roku liczebność tych wojsk wynosiła około 950 tys. żołnierzy. SS była głównym narzędziem terroru na terenach okupowanych przez Niemców.

SA — terrorystyczna organizacja partii nazistowskiej, utworzona przez Hitlera w 1921 roku dla ochrony faszystowskich zlotów i pochodów, a także w celu przygotowania zamachu stanu i likwidacji przeciwników nazizmu. Po dojściu hitlerowców do władzy przekształcona w policję pomocniczą (ochrona obozów koncentracyjnych i in.); do zadań SA wchodziło również przysposobienie wojskowe młodzieży.

SD — służba wywiadowcza hitlerowskich Niemiec o charakterze terrorystycznym. Działała wspólnie z gestapo oraz oddziałami SA i SS. Od początku drugiej wojny światowej brała czynny udział w ugruntowaniu i umacnianiu faszystowskiego reżymu okupacyjnego na zagarniętych terenach.

I wreszcie gestapo — tajna policja polityczna hitlerowskich Niemiec, ścigająca i likwidująca politycznych przeciwników faszyzmu oraz uczestników Ruchu Oporu w innych krajach, organizator eksterminacji ludności terenów okupowanych, zwłaszcza w ZSRR.

Dokumenty i dowody rzeczowe wstrząsnęły sumieniem ludzkości w obliczu faktów niesłychanych zbrodni, napełniły miliony serc gniewem i nienawiścią do faszyzmu. Hitleryzm podstępnie działał przeciwko dziesiątkom państw, unieszczęśliwił miliony ludzi różnych narodowości. W Europie nie było właściwie kraju, który nie padł ofiarą hitlerowskiej agresji. „Powinniśmy doprowadzić do perfekcji technikę

wyludniania — mawiał Hitler. — Jeśli ktoś mnie zapyta, co rozumiem przez to pojęcie, powiem, że mam na względzie likwidację całych jednostek rasowych". W specjalnej „Instrukcji dla żołnierza niemieckiego", którą przedłożono na procesie norymberskim jako dokument sądowy, polecano każdemu hitlerowcowi: „Pamiętaj i wykonuj:

2) ...Powinieneś wykorzenić w sobie uczucie litości i współczucia; zabijaj każdego Rosjanina, bez względu na to, czy chodzi o starca, kobietę lub dziecko.

3) ...Niemiec jest wyłącznym panem świata. Będziesz decydować o losach Anglii, Rosji, Ameryki. Jesteś Niemcem i, jak przystało Niemcowi, niszcz wszystkie żywe istoty stawiające opór na twojej drodze... Jutro będzie przed tobą klęczał cały świat".

Druga wojna światowa pochłonęła ponad 50 milionów istnień ludzkich, jednakże świat nie padł na kolana przed hitlerowskimi barbarzyńcami. Jest to głównie zasługą Związku Radzieckiego, który niósł na swych barkach podstawowy ciężar wojny z hitlerowskimi Niemcami. W imię zwycięstwa nad faszyzmem oddało życie ponad 20 milionów mieszkańców Kraju Rad; hitlerowcy obrócili w perzynę setki miast oraz tysiące zakładów przemysłowych. Popełnili zbrodnie, które nie mają odpowiednika w długiej historii rozlewu krwi na naszym globie. Dopuścili się barbarzyństwa, o jakim nie mieli pojęcia wszyscy dotychczasowi barbarzyńcy. Ich okrucieństwa przerastały to, czego dokonali wszyscy dotychczasowi złoczyńcy.

Hitlerowcy dokonali potwornych zbrodni przeciwko narodom ZSRR i innych krajów europejskich, przeciwko własnym rodakom. Oprawcy nikogo nie szczędzili. Na podstawie uprzednio opracowanych planów dręczyli i mordowali mężczyzn, kobiety, dzieci, starców, ludzi zdrowych i chorych. W samym tylko Oświęcimiu niemieccy siepacze uśmiercili cztery

miliony obywateli ZSRR, Polski, Jugosławii, Francji, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii, Belgii, Holandii i innych państw. Podobnych obozów śmierci było kilkadziesiąt.

Hitlerowskie hordy pozostawiały wszędzie za sobą ruiny wsi i miast, straszliwe groby pomordowanych jeńców wojennych i miejscowej ludności; pozostawiały popioły spalonych ludzi. Oglądałem filmy dokumentalne o obozach koncentracyjnych. Zwłoki zamordowanych, ozdoby wykonane z ludzkich czaszek i lampiony z ludzkiej skóry. Mydło wyrabiane ze zwłok więźniów. Wagony popiołu z krematoriów dla użyźniania niemieckich pól. Szczepienie zdrowym ludziom straszliwych chorób, doświadczenia z gazami i truciznami stosowanymi do eksterminacji. W byłym obozie koncentracyjnym Dachau nie opodal Norymbergi jeden z trzymanych tam w latach wojny więźniów, niemiecki antyfaszysta J. Schwelling, pokazał mi pustkowie, na którym rozstrzeliwano radzieckich jeńców wojennych. „Po wyzwoleniu Dachau — powiedział J. Schwelling — kilkakrotnie sialiśmy na tym miejscu najbardziej zieloną i soczystą trawę. Za każdym razem rosła tu jednak trawa szarobrunatna..." Ileż to krwi ofiar nazizmu wchłonęła ziemia, zarówno w obozach koncentracyjnych, jak i na polach walk! Nie podlega to przedawnieniu i powinno pozostać na zawsze w ludzkiej pamięci!

Nieunikniona kara dla hitleryzmu była jednym z celów sprawiedliwej wojny narodów z faszyzmem. W oświadczeniu o wynikach obrad konferencji krymskiej przywódców trzech mocarstw sojuszniczych — Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych Ameryki i Wielkiej Brytanii w lutym 1945 roku podkreślano: „...Jesteśmy zdecydowani rozbroić i rozwiązać wszystkie niemieckie siły zbrojne; raz na zawsze zniszczyć niemiecki sztab generalny, który wielokrotnie doprowadzał do wskrzeszenia militaryzmu niemiec-

kiego; usunąć lub zniszczyć wszelkie niemieckie urządzenia wojskowe; znieść lub poddać kontroli wszelkiego rodzaju przemysł niemiecki, który mógłby być użyty do produkcji wojennej; ukarać sprawiedliwie i szybko wszystkich przestępców wojennych oraz wyegzekwować odszkodowania w naturze za zniszczenia dokonane przez Niemców; unicestwić partię nazistowską, nazistowskie ustawy, organizacje i instytucje; usunąć wszelkie wpływy nazistowskie i militarystyczne z urzędów publicznych i z życia kulturalnego i gospodarczego narodu niemieckiego oraz podjąć wspólnie w Niemczech inne tego rodzaju środki, jakie mogłyby okazać się konieczne dla przyszłego pokoju i bezpieczeństwa całego świata".

Zasady te państwa sojusznicze potwierdzały również niejednokrotnie w okresie późniejszym. Na konferencji poczdamskiej trzech mocarstw w lipcu—sierpniu 1945 roku specjalnie wskazywano, że „przestępcy wojenni oraz osoby biorące udział w planowaniu lub wykonywaniu przedsięwzięć nazistowskich, które pociągnęły za sobą lub wyraziły się w okrucieństwach albo zbrodniach wojennych, będą aresztowane i oddane pod sąd". I dalej: „Zniszczyć partię narodowosocjalistyczną i organizacje związane z nią i poddane jej władzy; rozwiązać wszystkie instytucje nazistowskie; zapewnić, by nie odżyły one pod jakąkolwiek postacią; wreszcie nie dopuścić do jakiejkolwiek nazistowskiej i militarystycznej działalności lub propagandy".

Trudno nie wspomnieć tych dokumentów historycznych. Poniektórzy na Zachodzie pragnęliby puścić je w niepamięć i zamknąć tę kartę dziejów, która zawsze powinna być otwarta.

Na świecie istnieją siły podejmujące niemałe wysiłki w celu reanimacji nazizmu, usprawiedliwienia poczynań hitlerowców, dokonania pewnych retuszów oraz wykorzystania hitleryzmu w tej zmodernizowa-

nej postaci dla osiągnięcia w gruncie rzeczy starych celów politycznych. Powtórzenie tej przeszłości jest wręcz niedopuszczalne.

Nauki procesu norymberskiego mają dla współczesności nieprzemijające znaczenie. Stanęli tam przed sądem nie tylko główni przestępcy wojenni. Sąd nie zakończył się również w chwili, kiedy kat narzucił kaptur na głowę i pętlę na szyję ostatniego z oskarżonych, których Międzynarodowy Trybunał Wojskowy skazał na karę śmierci. W Norymberdze na ławie oskarżonych zasiadł faszyzm, jego występna istota, teoria i praktyka, a także wewnętrzna struktura i międzynarodowe powiązania hitleryzmu.

Niemiecki faszyzm był wytworem niemieckiego imperializmu. Już na początku lat dwudziestych w programie partii narodowosocjalistycznej wysuwano postulat przyznania Niemcom „ziem i obszarów (kolonii) celem wzbogacenia naszego narodu i zasiedlenia tych obszarów nadwyżką naszej ludności". Już wówczas hitlerowcy nie ukrywali metod, za których pośrednictwem zamierzali osiągnąć występne cele. W jednym ze swoich wczesnych monachijskich przemówień Hitler stwierdzał: „Oświadczamy, że jesteśmy przeciwnikami Zachodu. Francja jest naszym historycznym i nieprzejednanym wrogiem. Ale jeszcze większym jest nowa Rosja. Na Zachodzie i Wschodzie rozstrzygniemy spór z naszymi wrogami siłą oręża, który powinniśmy wykuć i wyostrzyć".

Hitlerowcy przekształcili Niemcy w obóz wojskowy, w stałe zagrożenie dla sąsiednich państw. Faszystowscy spiskowcy, od samego początku uważali wojnę za najbardziej skuteczny środek osiągania celów polityki zagranicznej. Niemiecki faszyzm był przepojony dziką nienawiścią do wolności i demokracji, do wszelkich przejawów ludzkiej godności. Potępiając faszystowskie agresje, Międzynarodowy Trybunał Wojskowy ferował wyrok na wszystkie imperialisty-

czne siły wojny. „Wojna jest złem w samej swej istocie — podkreślano w wyroku. — Jej następstwa nie ograniczają się wyłącznie do stron walczących, lecz dotyczą całego świata. Dlatego rozpętanie agresywnej wojny nie jest zwykłym przestępstwem o charakterze międzynarodowym, lecz ciężką zbrodnią tego rodzaju, która różni się od innych zbrodni wojennych tylko tym, że zawiera w ześrodkowanej postaci zło występujące w każdej z pozostałych".

Minęły cztery dziesięciolecia od chwili odczytania wyroku trybunału norymberskiego. Ukazały się prace historyków, socjologów, polityków, ekonomistów i przedstawicieli wielu dziedzin nauki na temat przewodu sądowego i wyników prac Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Życie jest właściwie momentem między przeszłością i przyszłością, ale przemijając pozostawia przyszłym pokoleniom uzyskane doświadczenie, dokonania i potknięcia. Powinny one wybrać z tej spuścizny wszystko, co najważniejsze i co należy wykorzystać lub czego należy unikać w imię postępu na Ziemi, w imię szczęścia ludzkości.

Spośród wielu wniosków procesu norymberskiego wyodrębniłbym dwa, zarówno żeby nie wychodzić poza ramy niniejszej broszury, jak i dlatego, że uważam je za najważniejsze dla współczesności. Wykazując potworny charakter wojny, którą rozpętał niemiecki faszyzm, jak również nieuniknioną karę dla każdego agresora, sąd narodów w Norymberdze wezwał miliony ludzi, żeby pamiętali o potwornościach krwawych konfliktów, a także wystąpił z apelem o czujność i organizację oporu wobec sił, które zapomniały nauk płynących z historii i ponownie przygotowują się do agresywnych wypraw. Czas jakby uległ przyspieszeniu w naszym nuklearnym wieku. Strzały i proce miotające kamienie dzielą od broni palnej tysiąclecia, a od najprostszych bomb atomowych, które zburzyły Hiroszimę i Nagasaki, do broni

jądrowej doby obecnej, mogącej kilkakrotnie zniszczyć wszystkie żywe istoty na Ziemi, minęło zaledwie kilka dziesięcioleci. Pisma wojskowe i naukowe są wręcz przepełnione prognozami dotyczącymi powstania w najbliższych latach superpotężnej broni laserowej, radiologicznej, wiązkowej i innych systemów masowej zagłady, dla których nawet jeszcze nie ustalono terminologii. Gigantycznego skoku dokonano także w środkach przenoszenia substancji wybuchowej. Międzykontynentalne rakiety balistyczne przebywają ogromne przestrzenie z prędkością, którą zaledwie przed pół wiekiem uważano za wytwór fantazji. Wszystkie wojny, które stoczono dotychczas na naszym globie, pochłonęły w sumie około 4 miliardów istnień ludzkich. Dziś cała ludność naszego globu — prawie 5 miliardów — może ponieść śmierć w ciągu kilku godzin, a jutro — w ciągu kilku minut. Zapominając o potwornościach drugiej wojny światowej, którą rozpoczął faszyzm, nie można sobie uzmysłowić katastrofy, do której spychają świat siły imperialistyczne, a przede wszystkim kompleks wojskowo-przemysłowy Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Należy ponownie ukazać oczom pokoleń, które ominął koszmar światowej pożogi wojennej, straszliwe sceny z niedawnej przeszłości — sceny hitlerowskich krwawych agresji; należy piętnować podżegaczy wojennych minionych lat i ich obecnych współwyznawców antyhumanitarnych przekonań, przysięgając na pamięć milionów ofiar faszystowskich oprawców, które przed czterdziestoma laty poniosły śmierć w imię życia. Należy mnożyć szeregi i kolumny bojowników występujących przeciwko niebezpieczeństwu wojny, wskazywać wszystkim źródło tego zagrożenia.

Ogromne znaczenie dla doby obecnej i przyszłości ma jeszcze jeden wniosek z procesu norymberskiego.

W Republice Federalnej Niemiec stało się nawet nie modą, lecz oficjalnym postulatem politycznym powoływanie się przy najmniejszej nawet wzmiance o hitleryzmie na fatalną rolę, jaką odegrały poszczególne osobistości, które pojawiły się przypadkowo na scenie politycznej Niemiec w latach dwudziestych i trzydziestych. Jeśli uprościć argumenty bońskiej propagandy i historiografii, to okaże się, że wszelką winę za zbrodnie faszystów ponosi Hitler i ewentualnie dwóch lub trzech jego najbliższych współpracowników. Gdyby nie oni, nie byłoby wówczas barbarzyńskich agresywnych wypraw i szaleńczych planów podboju świata. Odpowiedzialnością za obozy koncentracyjne, jeśli w ogóle mówi się o tych sprawach, obarcza się Himmlera, a za podsycanie nacjonalistycznych namiętności — Goebbelsa. Pracami nad teoriami rasizmu — stwierdza oficjalne Bonn z wyraźnym zamiarem bagatelizowania tego problemu — jeśli takowe były, mając raczej charakter scholastycznych wywodów, bez konkretnych następstw, parał się Rosenberg. I tak dalej, w odniesieniu do ideologii i nieskończonej listy zbrodni niemieckiego faszyzmu. Coraz uporczywiej sprowadza się wszystko do przypadkowego zbiegu okoliczności i nie dającego się wyjaśnić pojawienia się na tym etapie dziejów Niemiec polityków niegodnych tego miana.

Partię hitlerowską ukształtowały kapitał monopolistyczny i kręgi militarystyczne, które ją uważały za własną organizację powołaną do podporządkowania sobie drobnomieszczańskich i zdeklasowanych warstw ludności oraz wykorzystania ich w celach odpowiadających imperialistom. Ideologia faszystowska demoralizowała setki tysięcy ludzi, wydźwigując do rangi najwyższych cnót najniższe uczucia i instynkty. Nazizm ugruntował tyranię w kraju i poza krajem, występując od samego początku jako

wierny wyraziciel interesów wielkiego kapitału i kręgów militarystycznych.

To te właśnie siły zapewniły faszyzmowi władzę, przekonane, że korzystając z szowinistycznej, agresywnej i awanturniczej organizacji podejmą grabieżcze wyprawy i zmiażdżą ostoję postępowego rozwoju ludzkości: przybierające na siłach państwo socjalistyczne — Związek Radziecki. Gdyby nie istniał histeryczny maniak gefrajter Schicklgruber, monopole i soldateska znalazłyby innego Hitlera służącego im z równą gorliwością. Fotele innych faszystowskich bonzów również nie świeciłyby pustkami. Nie pomniejsza to, rzecz jasna, odpowiedzialności konkretnych hitlerowskich liderów, którzy dopuścili się ciężkich zbrodni, jednakże podczas procesu w norymberskim Pałacu Sprawiedliwości ustawicznie podkreślano, że nie wystarcza ukaranie tych, którzy zasiedli na ławie oskarżonych, lecz należy usunąć korzenie faszyzmu, zlikwidować przyczyny rozkwitu hitleryzmu oraz nie dopuścić do powstania warunków, w których mogłyby wegetować trujące kiełki prawicowego ekstremizmu.

Sąd narodów ustalił, że faszyzm nie jest przejawem złej woli poszczególnych osób, lecz reżymem, systemem politycznym i polityką całego państwa, która służyła interesom niemieckich przemysłowców i finansistów. Międzynarodowy trybunał osądził nie tylko faszystów, ale również i faszyzm. Osądził tych, którzy go zrodzili, a także tych, którzy zamierzają go wskrzesić — prekursorów i spadkobierców faszyzmu.

Gdyby te nauki historii, w gruncie rzeczy przykazania milionów ofiar hitlerowskiego faszyzmu, stały się zjawiskiem realnym nie tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej — jednym z państw niemieckich, które powstały na gruzach „III Rzeszy", lecz także i w drugim — Republice Federalnej Niemiec...

REWANŻYŚCI PODNOSZĄ GŁOWĘ



W dniach posiedzeń Międzynarodowego Trybunału Wojskowego amerykańska policja wojskowa interesując się pracą monachijskich księgarń ustaliła, że około stu tych placówek szeroko sprzedawało hitlerowskie publikacje. Jednocześnie w różnych miastach Zachodnich i Południowych Niemiec powstały konspiracyjne organizacje nazistów. Zwykłym zbiegiem okoliczności Amerykanie ustalili, że „chrześcijańscy skauci" z Koburga wydają hitlerowskie ulotki. W amerykańskiej strefie wpływowi hitlerowcy nadal kierowali wielkimi zakładami, nie opuszczając wysokich stanowisk administracyjnych. Zwłoki nazizmu — nie spalone i nie pogrzebane — nadal zatruwały atmosferę. Tak długo oczekiwany świt po bezkresnych nocach faszyzmu jawnie się spóźniał w tej części hitlerowskiej Rzeszy.

W układach poczdamskich dotyczących polityki uczestników koalicji antyhitlerowskiej wobec pokonanych Niemiec sformułowano trzy zasady: denazifikacja, demilitaryzacja i demokratyzacja Niemiec. Stany Zjednoczone Ameryki naruszyły porozumienia jeszcze wówczas, kiedy nie zdążył wyschnąć atrament na stronicach tych dokumentów.

6 września 1946 roku do Stuttgartu przybył w prywatnej salonce Hitlera amerykański sekretarz sta-

nu Byrnes. Dosłownie nazajutrz przemawiał on do przemysłowców i wpływowych przedstawicieli kościoła oświadczając, że „USA są przeciwne zbyt ostrym posunięciom dyktowanym pragnieniem zemsty" wobec Niemiec, że zgodnie z ich opinią Niemcom należy zezwolić na odbudowę „przemysłu służącego celom pokojowym".

Zachodnioniemieckie monopole doskonale zrozumiały sens lekko zawoalowanych sformułowań szefa amerykańskiego resortu dyplomatycznego. Dziennik „Der Telegraph" odcyfrował przemówienie Byrnesa: „Odetchną z ulgą miliony Niemców z obszarów wschodnich, którym groziła nie tylko przepadłość mienia, ale również utrata na zawsze ich ojczyzny. Obecnie, kiedy cały świat usłyszał te mężne słowa, możemy również wystąpić w obronie uciskanych". Było to jawne nawoływanie do odwetu, i to zaledwie w rok po klęsce faszyzmu w Europie.

W wystąpieniu amerykańskiego sekretarza stanu wyrażono oficjalnie rozmaite poufne plany, które powstały w Waszyngtonie już w pierwszych tygodniach po podpisaniu aktu bezwarunkowej kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy. Generał Clay w tajnym raporcie do ministra wojny USA zalecał przekształcenie Niemiec Zachodnich w młodszego partnera Stanów Zjednoczonych. Plan zyskał gorące poparcie amerykańskiego eksperta polityki zagranicznej Bernheima, który oświadczył, że panowanie nad Niemcami zapewni Waszyngtonowi dominującą pozycję w całej Europie.

Hamując realizację układów poczdamskich amerykańscy politycy podjęli wobec Niemiec kroki wyraźnie sprzeczne z celami koalicji antyhitlerowskiej i dążeniami wielkiego przymierza narodów, które pokonały faszyzm kosztem ogromnych ofiar. John Foster Dulles mówił bez ogródek, że Waszyngton, działając z zachodnioniemieckiego przyczółka, zamierza

„podważyć i odrzucić socjalizm w Europie". Do realizacji tego zamiaru najbardziej nadawały się siły, które zrodziły faszyzm na ziemi niemieckiej.

W „Instrukcji o denazifikacji najważniejszych przedsiębiorstw w Niemczech", którą Amerykanie wydali w końcowym okresie wojny, wymieniono nazwiska około 1800 przedstawicieli niemieckiego kapitału finansowego, o których mówiono: „Ludzie ci doskonale prosperowali w latach nazizmu i popierali hitleryzm. Ułatwili hitlerowcom dojście do władzy, służyli im oraz dzielili z nimi zdobycze uzyskane w wyniku konfiskat i podbojów, wszelkimi sposobami czerpali zyski z reżymu hitlerowskiego... W charakterze środka bezpieczeństwa, który powinna podjąć amerykańska administracja wojskowa, proponuje się aresztowanie wszystkich osób wymienionych na tej liście".

Ta groźna salwa amerykańskiej administracji wojskowej pozostała na papierze. A więc spośród 360 członków partii hitlerowskiej — czołowych dyrektorów występnego Stahltrustu — aresztowano jedynie 33, którzy w dodatku już niebawem znaleźli się na wolności. Na jesieni 1946 roku właściwie wszyscy przemysłowcy i finansiści ze wspomnianej listy opuścili miejsca krótkiego aresztu. W końcu listopada 1946 roku zwolniono z więzień 27 wpływowych kierowników hitlerowskiego przemysłu zbrojeniowego, w tym Hugo Stinnesa, właściciela znanego koncernu, Kühlmanna z monopolu Kruppa, Brandiego z zakładów Thyssena i ostatnich pięciu dyrektorów Stahltrustu.

Podobna sytuacja istniała również w dwu pozostałych zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. Posłanka do parlamentu brytyjskiego Jennie Lee, której małżonek Aneurin Bevan był ministrem angielskiego gabinetu labourzystów, przemawiając w 1947 roku w Izbie Gmin oświadczyła: „Z denazifika-

cją w Niemczech bynajmniej nie wszystko jest w porządku... Mogłabym przedłożyć listę głównych przedsiębiorców, którzy zajmowali niegdyś kierownicze stanowiska w niemieckiej gospodarce, a obecnie nadal utrzymują wpływowe pozycje..."

Porozumienia sojuszników z koalicji antyhitlerowskiej przewidywały decentralizację niemieckiego przemysłu, lecz zamiast tego Niemcy Zachodnie, dzięki pomocy USA, już dawno z uwagi na poziom koncentracji wyprzedziły Anglię, Francję i Włochy, a w niektórych gałęziach nawet Stany Zjednoczone. Kilkanaście monopoli gigantów kontroluje przeszło 1/4 globalnego dochodu narodowego RFN. W przemyśle chemicznym sukcesję po ponurym koncernie „IG Farbenindustrie AG" przejęły trzy zjednoczenia monopoli. Każde z nich jest potężniejsze od poprzednika, w sumie zaś kierują połową przemysłu chemicznego kraju. Już dawno wszystkie zachodnioniemieckie firmy lotnicze połączyły się w jedną całość lub osiągnęły porozumienia o ścisłej współpracy. Sztafetę finansowo-gospodarczej podstawy starej niemieckiej reakcji przechwycił kompleks wojskowo-przemysłowy obecnej RFN.

Niemieccy militaryści również niedługo pozostawali w ukryciu po klęsce hitleryzmu. Już w 1950 roku byli hitlerowscy generałowie i oficerowie utworzyli organizację pod nazwą „Bruderschaft" i wystąpili na łamach gazety „Stuttgarter Nachrichten" ze swoim programem: „Nadeszła chwila, kiedy panowanie mas powinno być zastąpione panowaniem wybranych, których celem stanie się ponownie kierowanie narodem po odrodzeniu germańskiej tradycji führera... Naszym celem ostatecznym jest zjednoczenie wszystkich narodów europejskich, zajmujących przestrzenie od Atlantyku do Uralu... Podstawą nowego sojuszu będzie Imperium Niemieckie, imperium wszystkich Niemców... Tymczasem zaś powinniśmy zmierzać

do jak najszybszej remilitaryzacji Niemiec, albowiem ich istnienie będzie miało sens tylko wówczas, jeśli zostaną należycie uzbrojone".

W sierpniu 1960 roku bońska generalicja w specjalnym memorandum wysunęła problem przymusowego powołania do służby wojskowej całej ludności zdolnej do noszenia broni, a także całkowitego, nieograniczonego wyposażenia bundeswery w broń jądrową i rakietową, w lotnictwo bombowe oraz utworzenia potężnej marynarki wojennej.

Minęło stosunkowo niewiele lat. Porównajmy to memorandum i postulaty z obecnym stanem bundeswery, z jej uzbrojeniem i czołową pozycją wśród armii Europy Zachodniej; nie zapomnijmy również o celach, które proklamował odrodzony militaryzm. Cele te, przejęte z hitlerowskich doktryn wojennych, są przepojone duchem awanturnictwa i rewanżyzmu.

W 1956 roku ulicami cichego nadreńskiego miasteczka Andernach przemaszerował pierwszy batalion bundeswery — armii zachodnioniemieckiej. Nie było w nim nawet jednego podoficera, który nie służył w hitlerowskim wermachcie. Od tego czasu batalion z Andernach domaszerował do półmilionowej armii dysponującej najnowocześniejszym sprzętem bojowym — armii, która zachowała przy tym ducha niemieckiej soldateski.

Na początku 1968 roku, będąc korespondentem własnym gazety „Trud" w Republice Federalnej Niemiec, wyjechałem pociągiem pospiesznym z Kolonii do Monachium. Siedzący naprzeciwko tłuścioch w podeszłym wieku starannie poprawił perukę, oparł nogi na siedzeniu, podkładając reklamowy plakat, rozpiął zieloną bawarską kamizelkę i zabrał się do czytania gazety.

Przygotowałem się do monotonnej wagonowej nudy. W pewnej chwili gazeta drgnęła i tłuścioch spojrzał na mnie z przymilnym uśmiechem: „Jakie to

wzruszające i szlachetne. Żyje duch minionych czasów". Podał mi skwapliwie gazetę, zabierając się do kolejnego numeru frywolnego „Bunte Illustrierte". Rozwinąłem podaną mi „Deutsche National-Zeitung und Soldaten-Zeitung": „8 lutego 1968 roku o 10.00 rano 221 kompania pułku piechoty górskiej w Muttenwaldzie podczas uroczystej zbiórki na placu minutą milczenia złożyła hołd pamięci pana Hofmanna".

Wielu jest w RFN Hofmannów. Jednakże charakter gazety i treść notatki pomnożone przez to, co się widziało i czytało o bundeswerze, przywołały z pamięci konkretnego Hofmanna. We Frankfurcie nad Menem podczas antyfaszystowskiego wiecu w 35 rocznicę dojścia Hitlera do władzy na salę wdarło się kilka grup neofaszystów. Szybko ich usunięto, a Hofmanna — starego hitlerowca i członka partii nazistowskiej — trzeba było wynieść. Był nazbyt gorliwy w ekstazie nienawiści i zmarł na atak serca.

Na placu stała tylko 221 kompania. Równały na nią jednak bataliony, pułki i dywizje bundeswery, oddając honory staremu duchowi i nowemu nazizmowi. Tygodnik „Der Spiegel" słusznie pisał wówczas, że „w ostatnich latach coraz więcej oficerów i podoficerów podało sobie komendę: „Równaj w prawo!"

W Neumünster oberleutnant Kreikenbohm przyprowadził na zebranie przedwyborcze neonazistowskiej partii NPD, a następnie do urn wyborczych kompanię w pełnym składzie. Do Szwecji zdezerterowało trzech starszych szeregowców armii zachodnioniemieckiej. W wywiadzie telewizyjnym, który oglądałem, oświadczyli: „Nasze zwierzchnictwo mówiło nam: «Chłopcy, następnym razem również będziemy głosowali na NPD»".

W bundeswerze wyraźniej niż gdziekolwiek indziej ujawnia się identyczność poglądów politycznych kół

rządzących i niezamaskowanych dążeń odwetowców wszystkich maści.

„Komunizm — stwierdzono w jednej z broszur odgrywających rolę bońskich instrukcji — atakuje podstawy naszego istnienia i pragnie zniszczyć wszystko, co jest treścią naszego życia. Zagraża więc nie tylko naszemu ustrojowi, ale również każdemu z nas". A zatem — „Marsz na Wschód". „Nasz kraj — wtóruje bońskim instrukcjom rewanżystowski szmatławiec „Soldatenkurier" — to nie tylko RFN, ale również Niemcy Wschodnie, a także ziemie pozostające pod polską administracją i tereny wokół Królewca".

„Pommern", „Schlesien", „Brandenburg" występują tu i ówdzie wśród nazw koszar armii zachodnioniemieckiej, aczkolwiek te historyczne regiony na mocy sprawiedliwych międzynarodowych aktów stały się po wojnie częścią składową Polski i NRD. Na emblematach i sztandarach jednostek bundeswery widnieją drapieżne herby tychże terenów, z których hitlerowską Rzeszę wypędzono w wyniku klęski faszyzmu.

Dziesiątki jednostek bundeswery nosi imiona hitlerowskich zbrodniarzy albo generałów, którzy zbroczyli ręce krwią patriotów lub demokratów jeszcze w latach Republiki Weimarskiej. Na koszarowych ścianach widnieją mapy tak zwanych „Wielkich Niemiec". Czołgiści stacjonujący w rejonie Ulm śpiewają takie pieśni, jak „Grenadierzy, niech wasze czołgi ponownie dotrą do Moskwy" lub „Naprzód, grenadierzy-czołgiści, atakujemy, jak niegdyś w Polsce i we Flandrii..."

Na początku lat siedemdziesiątych niejednokrotnie rozmawiałem z oficerami i generałami bundeswery, a także bywałem na manewrach. Jedno z pytań, jakie zadawałem każdemu z rozmówców, w tym również generalnemu (obecnie byłemu) inspektorowi bunde-

WOJSKOWA AKADEMIA TECHNICZNA
Dział Zbiorów Ogólnych

swery De Maiziere, brzmiało: „Czy w bundeswerze jest choćby jeden generał, który nie służył w hitlerowskim wermachcie?" Za każdym razem otrzymywałem odpowiedź: „Nie, wszyscy przeszli przez wermacht". Przed kilkoma laty pojawili się w armii zachodnioniemieckiej pierwsi „młodzi" generałowie, którzy z uwagi na wiek nie brali udziału w grabieżczych wyprawach faszyzmu, ale zostali wychowani na najgorszych wzorach prusactwa i w atmosferze panującej w III Rzeszy. Nie dziełem przypadku są więc takie epizody w dniu powszednim bundeswery, jak burzliwa owacja zgotowana przez absolwentów hamburskiej akademii wojskowej oficerowi chilijskiej junty rządzącej, który wyrażał uznanie krwawemu reżymowi Pinocheta. Albo ogromne swastyki, jakie nakreślili w przestworzach piloci zachodnioniemieckich wojsk lotniczych nad cmentarzem podczas pogrzebu hitlerowskiego asa Rudela, który otrzymał najwięcej hitlerowskich odznaczeń w latach nazistowskich agresji, bombardowania miast i wsi Europy. Tygodnik „Stern" przyznaje, że „zachodnioniemieccy oficerowie, którzy już niebawem będą dowodzili wojskami lądowymi, marynarką wojenną i lotnictwem, odrzucają typowe symptomy demokracji i skłaniają się ku dyktaturze".

Po klęsce hitleryzmu na terytorium Niemiec Zachodnich przy poparciu imperializmu USA i wbrew układom poczdamskim szybko restytuowano elementy starej władzy — finansowo-gospodarczej, militarystycznej i administracyjnej. Ponownie rewanżyzm, sprzężony z agresywnym antykomunizmem, został wydźwignięty do rangi doktryny państwowej. Reakcyjnie nastawiona część monopolistycznej burżuazji RFN nie zrezygnowała z zamiaru odzyskania w określonym układzie historycznych okoliczności terenów utraconych w wyniku hitlerowskiej agresji. Cele te niezmiennie popierał blok prawicowo-kon-

serwatywny — Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna i Unia Chrześcijańsko-Społeczna.

Pierwszym kanclerzem Niemiec Zachodnich został Konrad Adenauer, który w pełni odpowiadał zarówno kołom rządzącym USA, jak i reakcyjnym siłom nad brzegami Renu. Był to działacz o wieloletnim doświadczeniu politycznym, żądny władzy, wykazujący makiaweliczną pogardę dla prostych ludzi, pokazową pobożność przyprawioną „odrobiną reńskiego humoru", a co najważniejsze — cyniczno-wyrachowaną gotowość realizacji agresywnego kursu wobec Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych, kursu nieprzejednanego antykomunizmu.

Pierwszy zachodnioniemiecki kanclerz nigdy nie ukrywał głównych celów polityki, których realizację zlecili mu magnaci przemysłowi i katoliccy kardynałowie. Podczas audiencji u papieża Jana XXIII oświadczył z patosem: „Mniemam, że opatrzność w tych burzliwych czasach powierzyła narodowi niemieckiemu szczególne zadanie ochrony krajów zachodnich przed silnymi wpływami Wschodu". Za tym „chrześcijańskim" szyldem nietrudno jest dostrzec stare hitlerowskie hasło głoszące, że „Niemcy powinny ocalić świat przed bolszewizmem".

Z imieniem Adenauera łączy się rozłam Niemiec, to on zapewnił nowy wzlot potęgi monopoli. Przed Adenauerem maszerowały pierwsze jednostki bundeswery, podpis tego kanclerza widnieje pod dokumentem, który przekształcił Niemcy Zachodnie w kraj członkowski NATO. Pod jego protektoratem antykomunizm i rewanżyzm przekształciły się w politykę państwową.

Adenauer spokrewniony z rodziną magnata przemysłowego i finansowego Wehrharna, a także z kardynałem Fringsem — prymasem Niemiec Zachodnich — rozdał najważniejsze stanowiska w swoim rządzie przedstawicielom kręgów finansowo-

przemysłowych i klerykalnych — ludziom jeszcze wczoraj duszą i ciałem zaprzedanym hitleryzmowi w III Rzeszy. Osobistym sekretarzem Adenauera został Hans Globke, który jako główny interpretator „ustaw norymberskich" przygotował pod względem ideologicznym zagładę milionów „nie-Aryjczyków" w komorach gazowych. Tekę ministra spraw wewnętrznych otrzymał Gerhard Schröder, były bojówkarz i hitlerowiec, który niezwłocznie przystąpił do prześladowania ludzi stawiających w latach III Rzeszy opór hitlerowskiej tyranii. Na stanowisku ministra „do spraw wypędzonych, uchodźców i inwalidów wojennych" znalazł się Theodor Oberländer, uczestnik faszystowskiego ruchu od 1923 roku, ideolog „walki germanizmu" ze Słowianami i Żydami, reichsführer „Bund deutscher Osten". W sierpniu 1939 roku brał on czynny udział w organizacji prowokacyjnej napaści esesmanów przebranych w polskie mundury wojskowe na niemiecką rozgłośnię w Gliwicach, co, jak powszechnie wiadomo, dało Hitlerowi pretekst do agresji przeciw Polsce i rozpoczęcia drugiej wojny światowej. W 1941 roku dowodzony przez Oberländera batalion pacyfikacyjny „Nachtigall" dokonał serii krwawych pogromów na ziemi radzieckiej.

Czy taki rząd mógł położyć kres ponurej puściźnie hitleryzmu, dokonać w kraju demokratycznych przeobrażeń, wykluczyć możliwość pojawienia się kiełków neonazizmu i rewanżyzmu? Jest to, rzecz jasna, pytanie wręcz absurdalne, sprzeczne z naturą rzeczy od samego początku istnienia Republiki Federalnej Niemiec.

W marcu 1952 roku Hallstein, sekretarz stanu w gabinecie Adenauera, wygłosił w Nowym Jorku programowe przemówienie rządu, w którym ujęto hasło „integracji Europy do Uralu", wyrażające w gruncie rzeczy stare zaborcze cele Hitlera. Boński działacz oświadczył, że ta „zintegrowana" Europa powinna

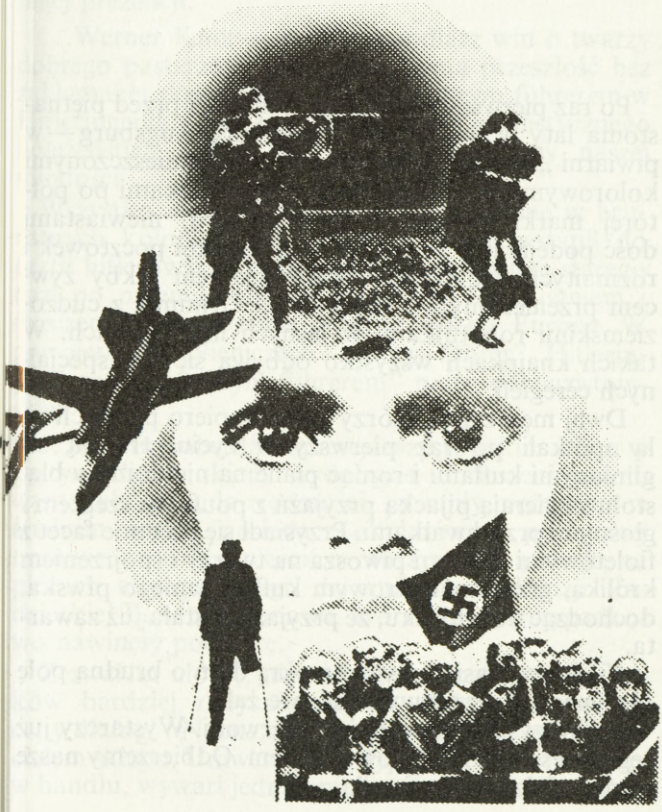
się stać „wspólnotą wolnych narodów Zachodu z wyzwolonymi od bolszewizmu narodami Europy Wschodniej — do Uralu włącznie". Grabieżcze marzenia Hitlera, Himmlera i Goebbelsa o „esesmańskiej Europie" odrodziły się pod skrzydłami „zachodniej wolności", zachowując w pełni swoją drapieżną imperialistyczną istotę.

Wertując kronikę życia politycznego Niemiec Zachodnich można napotkać mnóstwo zgoła nieprawdopodobnych oświadczeń. Minister komunikacji Seebohm w styczniu 1952 roku pouczał w przemówieniu radiowym swoich słuchaczy: „Ograniczacie się do roszczeń wobec rejonów, które na mocy traktatu wersalskiego stanowią część Rzeszy niemieckiej. Nie powinniście jednak zapominać o Górnym Śląsku, o niemieckim Poznaniu i Prusach Wschodnich i w pierwszym rzędzie o Sudetach. Nie można ignorować tego, co było i jest niemieckie, chociaż w latach 1919—1938 nie wchodziło do państwa niemieckiego". Przemawiając do czołowych przemysłowców w Düsseldorfie 28 sierpnia 1960 roku minister gospodarki Erhard oświadczył: „Bylibyśmy niegodni obecnej znamiennej chwili zapominając o naszych rodakach, którzy — niezachwiani w swej wierze — nadal znajdują się na ojczystej ziemi pod materialnym i duchowym uciskiem... Nie zapomnimy Śląska". W styczniu 1961 roku podczas przyjęcia wydanego dla kierownictwa jednego z odwetowych ziomkostw Adenauer stwierdził, że „kiedy dla Niemiec wybije historyczna godzina, niemieckie obszary wschodnie nie zostaną zapomniane".

Celem wcielenia w życie takich idei rewanżyzmu, których krzewicieli sami Niemcy określili trafnym mianem „wiecznie wczorajszych", polecono utworzenie związków „wypędzonych". Nie było zresztą specjalnej potrzeby wydawania takich poleceń. Sama atmosfera społeczno-polityczna w Republice Federal-

nej Niemiec, konkretne akcje kół rządzących zarówno na terenie kraju, jak i za granicą, a także klimat ideologiczny i system wychowania dorastającego pokolenia stwarzały nader sprzyjające warunki do ustawicznego pojawiania się coraz to nowych niezliczonych neonazistowskich i odwetowych związków, organizacji, grup i ugrupowań, do odrodzenia i ugruntowania hitlerowskiego światopoglądu w świadomości określonych warstw mieszkańców państwa bońskiego.

GRUPOWE ZDJĘCIE ZE SWASTYKĄ



Po raz pierwszy spotkałem tych ludzi przed piętnastoma laty w bawarskim miasteczku Augsburg — w piwiarni „Pod Złotą Gęsią" z wysoko umieszczonymi kolorowymi okienkami, tłustymi parówkami po półtorej marki sztuka, brudną portierą, niewiastami dość podejrzanej konduity, handlarzami pocztówek i rozmaitych drobiazgów, kataryniarzem jakby żywcem przeniesionym z bajek braci Grimm i z cudzoziemskimi robotnikami w jasnych marynarkach. W takich knajpkach wszystko odbywa się bez specjalnych ceregieli.

Dwaj mężczyźni, którzy się tu dopiero przed chwilą spotkali po raz pierwszy w życiu, trącają się glinianymi kuflami i roniąc pianę na nie domyty blat stołu zawierają pijacką przyjaźń z poufnym szeptem i głośnymi przechwałkami. Przysiadł się do mnie facet z fioletowymi żyłkami piwosza na twarzy i spojrzeniem królika, grzmotnął litrowym kuflem taniego piwska, dochodząc do wniosku, że przyjaźń została już zawarta.

Fioletowy sąsiad wytarł mokrą dłoń o brudną połę marynarki i zaczął wylewać swe żale:

— Wszystkiemu winni są czerwoni. Wystarczy już tego mieszania Niemców z błotem. Odbierzemy nasze ziemie. Odzyskamy je siłą...

Pogrzebał w kieszeni i wyjął książkę obłożoną w ulotkę z białym kołem i trzema czarnymi literami „NPD" — Narodowodemokratyczna Partia Niemiec.

Czy wielu jest w tej partii neonazistowskiej oraz innych rewanżystowskich organizacjach i ugrupowaniach podobnych ludzi, doświadczonych przez los i ogarniętych pijacką nienawiścią? Zapewne niezbyt wielu. Znacznie częściej spotykałem osoby o zgoła innej prezencji.

...Werner Knut — sędziwy handlarz win o twarzy dobrego pasterza — wspominał swoją przeszłość bez zakłamanej skromności: „Byłem dobrym führerem w Hitlerjugend. Łączą nas do dziś więzy idealistycznego koleżeństwa. Jakież to były piękne czasy naszej młodości..."

Wszystko, co dlań piękne, jest utrzymane w brunatnych kolorach. Jako 18-letni uczeń wstąpił do partii hitlerowskiej i zakończył swoją karierę starego nazi po przemierzeniu w mundurze SS z ogniem i mieczem sponiewieranej przez faszystów Europy. W powojennych Niemczech „dobry führer" Hitlerjugend został „dobrym führerem" partii neonazistowskiej.

...W Norymberdze na antyfaszystowskim wiecu w gęstym tłumie, kiedy wydobycie z kieszeni notesu wymagało nie lada zręczności, szczupły mężczyzna w średnim wieku, posiadacz okularów w pozłacanej oprawie, potrafił umieścić neofaszystowską ulotkę na plecach mojego kolegi, dziennikarza Telewizji Radzieckiej E. Mnacakanowa, które mu się przypadkowo nawinęły pod rękę.

Zerwałem ulotkę, ale nie mogąc zastosować środków bardziej radykalnych, „podjąłem psychologiczny dialog". Neonazista, jak się okazało, był właścicielem sklepu. Uniwersytecki dyplom, mało przydatny w handlu, wywarł jednak piętno na jego potoczystym

wysławianiu się, nie mającym nic wspólnego z określeniami fioletowego piwosza.

— Wrogie siły dokonały rozłamu w naszym narodzie. Nie powinniśmy się z tym godzić. Nowe pokolenie nie może ponosić odpowiedzialności za błędy poszczególnych przedstawicieli starszej generacji. W dodatku historia drugiej wojny światowej zawiera wiele niejasności. Krematoria zbudowali już po wojnie ci, którym było potrzebne okłamanie i upokorzenie narodu niemieckiego. Bolszewizm sprowokował Hitlera do światowego konfliktu zbrojnego. Odebrane nam ziemie stanowią naszą niezaprzeczalną własność.

Nie był to już bywalec knajpki „Pod Złotą Gęsią". Nie powtarzał słów potrącających o najczulsze struny nacjonalistycznych namiętności, lecz zakładał filozoficzny i polityczny fundament zakłamanych i nikczemnych wywodów.

...Siwowłosego Wilhelma Gutmanna, którego spotkałem w Karlsruhe, przyjaciele nazywają „potulnym Willi". W końcu kwietnia 1945 roku, kiedy nawet zagorzali fanatycy nie mieli wątpliwości, że wojna została przegrana, Gutmann, prowodyr organizacji NSDAP w Tingen, spędził wszystkich mieszkańców do sali kina „Albrecht" i zażądał stawienia wrogom „totalnego oporu". Unosząc ramię w hitlerowskim pozdrowieniu oświadczył: „Wrzątek i kuchenne noże też mogą być naszą bronią!" Francuskie samoloty zrzuciły na miasto ulotki z przestrogą, że dzielnice, nad którymi nie będzie białych flag, zostaną zbombardowane. Tingeńczycy wykazali zarówno zrozumienie, jak i rozsądek, przystępując do wywieszania oznak kapitulacji. „W pewnej chwili — opowiadał mi naoczny świadek tych wydarzeń emeryt K. Baumann — pojawił się Gutmann w nowym mundurze i z pistoletem w dłoni. «Zastrzelę każdego, kto wywiesi białą flagę» — ryknął gniewnie".

„Potulny Willi" został w Niemczech Zachodnich jednym z założycieli i zastępcą przewodniczącego NPD.

...Profesor teolog Petersmann siłą przyzwyczajenia uniósł dłonie jakby w modlitewnym geście. Łatwo go sobie wyobrazić na ambonie, na tle ogromnych świec, witraży w wąskich oknach i malowideł sakralnych na ścianach i suficie. Od wielu lat Petersmann wygłasza kazania. W 1934 roku mówił: „Naród nasz został jakby cudownie ocalony. Czyż po tym można nie uznawać Adolfa Hitlera za męża opatrznościowego?" W 1936 roku: „Każdy powinien się uważać za powołanego do oporu i walki z jedynym wrogiem — bolszewizmem".

Po upływie dziesięcioleci treść kazań nie uległa zmianie: „Należy zniweczyć komunistów!" Tym razem głosił tę myśl nie z ambony, lecz z mównicy miejskiej sali w Würzburgu, przemawiając do tysięcy uczestników „Aktion Widerstand". Ileż tu było wśród nich znajomych twarzy!

Osobnika z blizną na całą szerokość policzka widziałem niedawno w Schwabach, dokąd przybyli neonaziści po wypędzeniu ich z Bayreuth. Sali w Schwabach nie zdążono jeszcze doprowadzić do porządku po jakiejś miejscowej uroczystości; wielobarwne baloniki unosiły się pod sufitem, a prymitywne papierowe girlandy zwisały ze ścian. Kiedy w tej jarmarcznej scenerii pojawił się von Thadden — mężczyzna o ponurym spojrzeniu — osobnik z blizną zerwał się z miejsca, wyprężył z gromkim „hoch!", które brzmiało niemal jak „heil!"

Z von Thaddenem, najbardziej „malowniczą" postacią wśród brunatnej zbieraniny w partii neonazistowskiej, jej przewodniczącym w czasach, kiedy NPD wdzierała się do landtagów i atakowała bundestag, spotykałem się niejednokrotnie.

Konferencja prasowa na górze Petersberg u schył-

ku lat sześćdziesiątych przypominała raczej przyjęcie. Chociaż w zaproszeniach kierownictwo NPD zapowiedziało „napitki właściwe dla wczesnych godzin porannych", pić można było wszystko. Kelnerzy kręcili się z bateriami najrozmaitszych butelek: „Czego panowie sobie życzą?" Zbliżono się do Thaddena: „Piwo?" Odchylił się w fotelu, uśmiechnął i dał gestem do zrozumienia, że nie pija alkoholu. Neoführer pozował przed zagranicznymi korespondentami na abstynenta. A przecież o miesiąc wcześniej zatrzymano go w godzinach nocnych na ulicy, kiedy prowadząc wóz był pijany w sztok.

Pozował również odpowiadając na pytania:

— Ile osób zrzesza NPD?

Thadden pochylił się kolejno w lewo, a później w prawo. Jego „gorliwi poddani" zaszczyceni uwagą bossa mamrotali pod nosem. Führer obwieścił z uśmiechem:

— Trzydzieści dziewięć tysięcy. Podczas wyborów do bundestagu liczymy na 50 tysięcy.

Byłem świadkiem plajty von Thaddena na jego ostatnim zjeździe NPD zimą 1971 roku w niewielkiej górskiej wiosce. „Delegaci" ochrypnięci od nie milknącej wrzawy i zbyt częstego zaglądania do kieliszka podzielili się na mniej więcej jednakową liczbę przeciwników i zwolenników von Thaddena. Równowaga sił stała się przyczyną przewlekłej krzykliwej debaty, a nawyki, które większość uczestników tego forum wyniosła jeszcze z hitlerowskich czasów, wycisnęły na tym partyjnym „polu walki" piętno krwiożerczej zaciekłości. Początkowo jako argumenty poszły w ruch wazony i doniczki z kwiatami, którymi w godzinach porannych umajono prezydialną trybunę. W toku dalszej dyskusji użyto foteli, krzeseł i przenośnych wieszaków, ale w indywidualnych starciach słownych najbardziej pożyteczne okazały się jednak pięści. Thadden, szukając schronienia przed gniewem

wrogów i entuzjazmem przyjaciół, wbiegł na półpiętro, gdzie zajęli miejsca dziennikarze, i nie zwracając uwagi na obecność radzieckich korespondentów wrzeszczał na całą salę: „Świnie! Oszczędzajcie lepiej sił dla realizacji naszych wzniosłych celów! Czekają was wyprawy po ziemie odebrane Niemcom i nasze bogactwa! Ojczyzna was potrzebuje!"

...A na innym zlocie do późnej nocy wrzeszczano w niezliczonych monachijskich piwiarniach. A później, skoro świt, ruszono gremialnie na nabożeństwo do „Świętego Pawła".

Kościół nie był w stanie pomieścić nawet drobnej części zebranych w stolicy Bawarii uczestników tradycyjnego spotkania „ziomkostwa Niemców śląskich" — jednej z największych rewanżystowskich organizacji przesiedleńców. W pobliżu ciemnoszarego portalu „Świętego Pawła" usłyszałem mówiących po angielsku. Do Monachium przybyli również „Ślązacy" z sąsiednich krajów europejskich, a nawet z USA. Na początku lat siedemdziesiątych rewanżystowska samowola przekroczyła granice RFN.

„Niech wam Bóg dopomoże w przezwyciężeniu zła i przywróceniu naszych praw" — śpiewa przy wtórze organów biskup Jansen. Ileż to razy imię boże służyło do maskowania jawnych rozbojów, a dziś uświęca roszczenia do obcych ziem. Demagogia odwetowych haseł z jezuicką przebiegłością przeplata się z bogobojnym charakterem „pieśni maryjnych". W drugim rzędzie przed sobą widzę kościsty, przyprószony siwizną kark przewodniczącego ziomkostwa śląskiego, deputowanego do bundestagu Hupki. Wertuje specjalnie wydawany na zlocie „śpiewnik kościelny", odsuwa tę książeczkę i w milczeniu słucha nabożeństwa.

Hupka ponad „pieśni maryjne" przekłada własne hymny polityczne. Podczas zagajenia tego sabatu ponownie uznał Śląsk za „część składową Niemiec".

„Spotkanie Niemców śląskich w Monachium — są to również jego słowa — powinno się przekształcić w pełną wymowy manifestację naszych roszczeń do Śląska". „Nigdy nie wyrzekniemy się Breslau; stanowi to naturalnie pojęcie zbiorcze" — taka jest niezmienna myśl przewodnia wystąpień tego lidera odwetowej organizacji.

Całę Monachium jest wręcz nafaszerowane hasłami: „Żądamy wolności dla stron ojczystych". Przed ogromną salą na terenie wystawy, gdzie odbywają się główne imprezy tego zlotu, wisi wielki transparent z napisem: „Niemcy — to także Breslau, Königsberg i Stettin". Zwracam się do szczupłego młodzieńca w mundurze, który się różni od hitlerowskiego tylko błękitnym kolorem:

— Co oznacza wasz strój?

— To mundur „niemieckiej młodzieży Wschodu". Chłopiec poprawia koalicyjkę i wypowiada wykute na pamięć słowa: „Odzyskamy nasze ziemie". Aneksja obcych terenów i próby obalenia ustroju socjalistycznego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — to cele strategiczne prowodyrów odwetowego związku „Niemców śląskich", którzy utracili wszelkie pojęcie o realnym układzie sił na świecie.

Zlot „ziomkostwa Niemców sudeckich" odbył się wkrótce po zawarciu układów 1970 roku w Moskwie i Warszawie. Cały główny plac Norymbergi zapełniły hasła i transparenty. „Nie zapomnimy niemieckich ziem na Wschodzie!" Dokoła leżą sterty rewanżystowskich publikacji, w tłumie powiewają wypłowiałe chorągwie z herbami obcych miast, nad placem płyną melodie marszów, napełniając serca zebranych tęsknotą za cudzymi ziemiami. Na mównicy tenże führer ziomkostwa, były hitlerowiec, a obecnie deputowany do bundestagu z ramienia partii Straussa — Becher.

Jego wystąpienie niczym się w gruncie rzeczy nie

różni od „programu działań" partii Niemcow sudeckich, która została założona w 1933 roku przez Henleina, a w pięć lat później stała się hitlerowskim przyczółkiem akcji uwieńczonych okupacją Czechosłowacji. Faszystowski program, powołując się na „tysiącletnie doświadczenie historyczne", proklamował wówczas „prawo Rzeszy do ziem ciągnących się do starej cesarskiej granicy z 1866 roku (wzdłuż Małych Karpat)". Becher stosuje wprawdzie nie tak odległe dygresje historyczne, ale wysuwa nie mniej bezczelne roszczenia. Dlatego też przy wtórze wrzasków uczestników rewanżystowskiego sabatu wezwał, aby „nie dopuszczać" do uznania umowy monachijskiej za nieważną od samego początku, na czym się opiera uregulowanie między CSRS i RFN następstw drugiej wojny światowej, oraz obwieścił, że układy zawarte w Moskwie i Warszawie są „niebezpieczne dla wolności".

I jeszcze jedno pamiętne spotkanie, do którego doszło wkrótce po podpisaniu Układu Moskiewskiego.

...Policyjny śmigłowiec zawisł nad moim samochodem i po chwili wylądował dosłownie w odległości kilku kroków. Parking w pobliżu tej stacji benzynowej — największy przed Helmstedtem — jest dziś jednak tak przepełniony, że nie tylko śmigłowiec, ale nawet motocykl nie znajdzie tu miejsca. „Aktion Widerstand", zrzeszająca rewanżystowskie siły Niemiec Zachodnich, organizuje tu swoją neonazistowską zbiórkę. Tęgi oficer policji wysiada ze śmigłowca, zbliża się do tłumu i salutuje:

— Panowie, jestem upoważniony do wyrażenia prośby o przestrzeganie porządku podczas pochodu.

Z tłumu pada odpowiedź:

— Nie zatykajcie nam ust. Mamy prawo domagać się zwrotu ziem niemieckich na Wschodzie.

Oficer jest wyraźnie skonsternowany:

— Nikt panom tego prawa nie neguje, ale prośba o przestrzeganie porządku należy do moich obowiązków służbowych. Życzę wszelkiej pomyślności.

Gdy tylko śmigłowiec uniósł się w powietrze, na ziemi, zapewne jak wówczas, w pamiętnym 1939 roku, padła komenda: „Do wozów! Kierunek — granica!" Na dachu forda jadącego na czele kolumny widnieje duży sześcian ze sklejki z rewizjonistyczną mapą i napisem: „Nie wyrzekniemy się ziem wschodnich ani przed traktatem pokojowym, ani po jego podpisaniu!" Zwracam się do krępego kierownika z odznaką „W" (Widerstand — Opór):

— Jakże je odzyskacie?

Twarz zapytanego przybiera purpurową barwę:

— Przemocą, jeśli nie oddadzą po dobremu!

„Domagamy się kraju i ziemi dla wyżywienia naszego narodu i przesiedlenia nadwyżek ludności". Morze ludzkiej krwi wytoczyły te słowa zawarte w programie partii hitlerowskiej. Obecnie powtarzają je neonaziści: „Niemcy pretendują do terenów, na których naród niemiecki rozwijał się w ciągu stuleci". Ktoś stara się wetknąć mi do ręki podłużną ulotkę w kształcie proporca: „Königsberg (radzieckie miasto Kaliningrad — *przyp. aut.*) znów będzie niemiecki". Przed Helmstedtem umieszczono drogowskaz: „Do Königsbergu 786 kilometrów". W realizacji ich urojonych nadziei przestrzeń i czas nie mają znaczenia.

Jedziemy długą kolumną do punktu kontrolnego na granicy. Po drugiej stronie leżą socjalistyczne Niemcy — Niemiecka Republika Demokratyczna. Na wieży wartownik, opanowany i uważny. Ludzie z „Widerstand" wznoszą pod jego adresem okrzyki uwłaczające mieszkańcom Wschodnich Niemiec: „Domagamy się samostanowienia dla narodu niemieckiego!"

Pięćdziesiąt lat temu również rozlegały się podobne okrzyki. Hitlerowcy żądali zjednoczenia wszystkich

Niemców w granicach Wielkich Niemiec na gruncie samostanowienia narodów". W Europie nie zapomniano, czym było brzemienne to hasło „samostanowienia". Niosło zniszczenia, pustoszenie ogromnych obszarów i całych krajów, krwawe rozprawy i niezliczone zbrodnie, zagładę ponad 50 milionów ludzi.

Prowokacja na punkcie kontrolnym kończy się fiaskiem. Ponownie pada komenda podana przez megafon: „Piątkami na centralny plac Helmstedt!" Z dokładnością automatu piątki wozów ruszają jedna za drugą. Czekam ponad dwa kwadranse na zajęcie miejsca w ogonie kolumny. Plac przecięty kordonami policji otoczono ciężarówkami i armatkami wodnymi — władze obawiały się kontrmanifestacji antyfaszystów. Zebrało się tu ich istotnie niemało. Odwetowcy wyskakują z samochodów i rozrzucają ulotki; dochodzi do krótkich starć. Widzę, jak przed hotelem „Lindenkrug" mężczyzna w podeszłym wieku wciska protezą w szczelinę między kostkami bruku neonazistowską ulotkę. Zawieramy znajomość. Jest to emeryt K. Kirsche. Przed wojną był zecerem, socjaldemokratą. Sześć lat spędził w obozie koncentracyjnym. W rozmowie stwierdza:

— Czy wiecie, kiedy zdałem sobie sprawę, że zbliża się kres hitleryzmu? 22 czerwca 1941 roku. Co za hańba, że są wśród nas ludzie, których historia niczego nie nauczyła!

Już nie po raz pierwszy tego dnia w szeregach „Aktion Widerstand" pada ostra koszarowa komenda. Kolumny z ryczącymi klaksonami wyjeżdżają z miasta i na każdym skrzyżowaniu dróg samochody skręcają w kierunku granicy. Miotam się między tymi grupami do późnego letniego zmroku. W ciągu dnia przejechałem prawie 800 kilometrów. Wszędzie jestem świadkiem tych samych scen. Histeryczne wrzaski, roje rewanżystowskich ulotek, bezsilna wściekłość. Na błękitnym mercedesie i luksusowym spor-

towym wozie z bochumską rejestracją widnieją jednakowe plakaty z napisem: „Oddajcie ziemie odebrane Niemcom po pierwszej i drugiej wojnie światowej. Jeszcze tam powrócimy!"

Dokąd powrócicie? Tam, gdzie dymy pożarów, które wzniecała wasza dłoń, spowijały ziemię? Gdzie szumią młode lasy i sady, gdzie powstały z ruin i zgliszcz nowe miasta, gdzie każdy człowiek do głębi duszy nienawidzi faszyzmu? Nie powrócicie tam nigdy!

...Lato 1984 roku. Francuska wioska Chessy, jakby wyludniona wskutek upałów. Tylko w osiedlu letniskowym nad Marną panuje ożywienie. Na tarasie parterowego domku pod barwnym wielkim parasolem zestawiono kilka krzeseł. Na jednym z nich siedzi wysoki brunet z wytatuowanymi na lewym ramieniu literami SA. Nazywa się Michael Kühnen. Specjalność: bez zawodu. Zajmowane stanowisko: jeden z führerów zachodnioniemieckich neonazistów. Tu się właśnie ukrył, kiedy członkowie jego organizacji — „Frontu akcji narodowych socjalistów" — dokonali kolejnych aktów terroru.

Od dziesięciu lat Kühnen, były leutnant i słuchacz wyższej uczelni bundeswery, zajmuje ultraprawicowe pozycje. Chodzi zazwyczaj w czarnej koszuli, czarnych welwetowych spodniach i czarnych saperkach żołnierza wermachtu; ma także pas z klamrą, na której orzeł Rzeszy trzyma w szponach swastykę. Wydał niedawno w Paryżu książczynę pod tytułem „Nasza Europa". Na okładce widnieje podobizna Hitlera z napisem: „Jego walka jest naszą puścizną. Walka trwa!" Precyzując swoje cele Kühnen pisze o dążeniu do umocnienia macierzystej organizacji, która jest „ruchem narodowosocjalistycznym nowego pokolenia Niemców". Określa te cele w sposób patetyczny: „Naszym marzeniem jest utworzenie czegoś w rodzaju oddziałów szturmowych, które jako żołnierze

polityczni będą torować drogę narodowemu socjalizmowi oraz walczyć z wrogim światopoglądem i wrogimi organizacjami, aż wreszcie nastąpi europejska rewolucja i zostanie wprowadzony nowy, lepszy ład!"

Długa galeria portretów ze swastyką. Na jednym przedstawiony jest osobnik w okularach z pozłacaną oprawą, na drugim — bywalec knajpy „Pod Złotą Gęsią", na trzecim — arystokrata o „błękitnej krwi", na czwartym — zakamieniały recydywista. A piąty? W życiu są to ludzie bardzo różni. Co jednak zbliża pijusa, handlowca, obszarnika, oficera, arystokratę i parlamentarzystę? Jakie wspólne cechy określają ten typ społeczny ludzi tak odmiennych, którzy kroczą pod czarnymi flagami rewanżyzmu w RFN?

Nacjonalizm. „Są oni ponownie zakochani w sobie — przyznaje „Der Spiegel". — Znowu bardzo im się podoba słuchanie wywodów o niemieckich cnotach, ofiarnej wierności do końca, o gorliwym spełnianiu obowiązków". Pogrobowcy hitleryzmu są prawdziwym uosobieniem tęsknoty po upajających czasach, kiedy dźwięki hitlerowskiego hymnu „Horst Wessel-Lied" podrywały na baczność i można było na cały głos, nie szczędząc aryjskiego gardła ryczeć: „Deutschland, Deutschland über alles!"

Brunatna narośl w RFN najeżona jest jadowitymi kolcami awanturnictwa. Rewanżyści nie dostrzegają przepaści między ich szaleńczymi apetytami i możliwościami. „Niemcy pretendują do obszarów, na których naród niemiecki żył przez całe wieki. Domagamy się kategorycznie prawa do naszej ziemi" — głosi program NPD, aczkolwiek prowodyrzy neonazistów doskonale zdają sobie sprawę, że ani im, ani też komukolwiek innemu nie zezwoli się na rewidowanie wyników drugiej wojny światowej.

Każdy neohitlerowiec w Niemczech Zachodnich jest na swój sposób wrogiem wszystkiego, co postępowe, i zagorzałym przeciwnikiem demokracji. Pro-

gram, który wykuwa na pamięć, gloryfikuje zbrodniarzy wojennych oraz głosi rasizm i szerzy nienawiść do robotników cudzoziemców. Pewnego razu podczas zebrania wyborczego von Thadden krzyknął z mównicy: „Cudzoziemscy robotnicy są dla nas tym, czym byli Żydzi dla hitlerowców!"

Dla pogrobowców nazizmu „związki zawodowe — jak to określiła „Deutsche Wochenzeitung" — są czerwonym państwem w państwie". Apel związku metalowców w Szlezwiku-Holsztynie, wzywający do walki z neonazizmem, reakcyjna gadzinówka „Deutsche Nachrichten" nazwała dowodem wskazującym, jak „lewicowi radykałowie podważają nasz nieskrępowany demokratyczny ład i haniebnie depcą demokratyczne prawa naszej ustawy zasadniczej". Podczas zjazdu NPD w Hanowerze neonaziści rozesłali do organizacji związkowych Dolnej Saksonii listy z pogróżkami zapowiadając, że „odnajdą czerwonych funkcjonariuszy i powieszą ich z rozprutymi brzuchami". Nie sprowadza się to tylko do pogróżek. Od roku 1980 do połowy 1984 zbrodniarze z prawicowej ekstremy zamordowali co najmniej 30 osób, a ponad 200 ich ofiar odniosło rany.

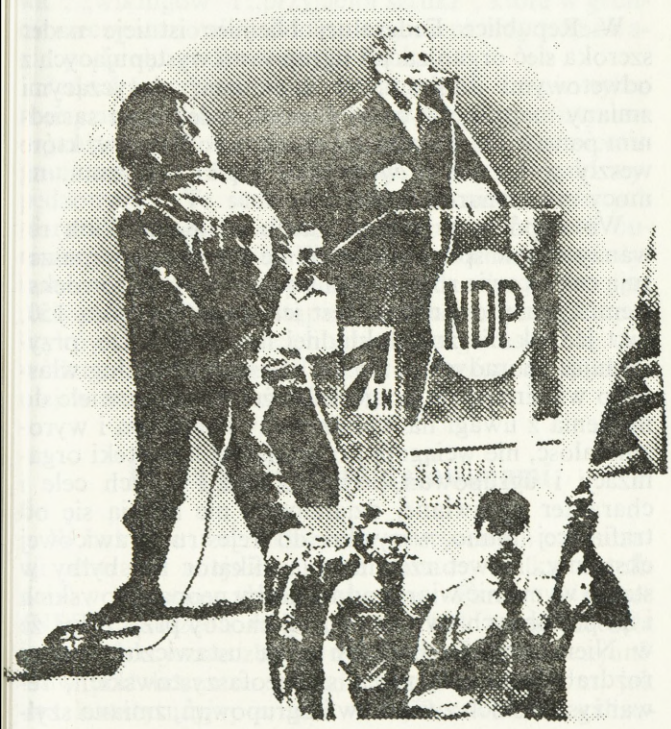
U schyłku lat sześćdziesiątych bundestag podjął serię „ustaw" zapewniających organom ścigania szerokie pełnomocnictwa w razie ogłoszenia stanu wyjątkowego. Głównym celem „nadzwyczajnego ustawodawstwa" są ostre restrykcje wobec postępowych, demokratycznych organizacji i poszczególnych osób wyrażających dezaprobatę dla antyludowych akcji oficjalnych władz. Prawicowi ekstremiści przyjęli te ustawy z fanatyczną radością jako fundament terroru i dyktatu.

Neonaziści nie mogą się obejść bez demagogii już choćby z tego powodu, że rozsądny człowiek nie jest w stanie przyjąć ich antyhumanitarnych dążeń. Odwołują się nie do rozumu, lecz do instynktu i namięt-

ności, które jest łatwiej rozpalić. „Należy walczyć z trwonieniem grosza publicznego... Protestujemy przeciwko samowoli obcego kapitału. Troskliwa ochrona zdrowia matki i dziecka, ochrona higieny pracy są obowiązkiem państwa i społeczeństwa. Domagamy się położenia kresu społecznej amoralności..." Są to słowa zaczerpnięte z programu NPD, których nigdy nie wcielano w życie i których realizacji zresztą nie mogą doczekać się w żadnym państwie kapitalistycznym, są więc siłą rzeczy zwykłym demagogicznym trikiem. Pewien neonazistowski teoretyk mawiał: „Nasz program ustalono z uwzględnieniem sytuacji polityczno-psychologicznej panującej wśród ludności, z jej szczególną potrzebą ugruntowania przekonań i wiary we własne siły". A więc gra na najniższych instynktach. Kłamstwo i nikczemność pod maską fałszywego patriotyzmu.

W każdym z tych ludzi „wiecznie wczorajszych" żyje nacjonalizm, awanturnicze skłonności, demagogia i okrucieństwo, niepowstrzymany pociąg do przemocy oraz żądza odwetu.

PUSZKA BOŃSKIEJ PANDORY



W Republice Federalnej Niemiec istnieje nader szeroka sieć organizacji i ugrupowań występujących z odwetowymi hasłami, z żądaniami dotyczącymi zmiany mapy politycznej Europy, odebrania sąsiednim państwom ich rdzennych ziem i obszarów, które weszły w ich skład w wyniku klęski faszyzmu, na mocy międzynarodowych aktów.

We wspólnym szeregu zachodnioniemieckich rewanżystów w sposób szczególnie wyzywający maszerują członkowie rozmaitych tworów o prawicowoekstremistycznej orientacji. Jest ich obecnie z górą 150, nikt jednak nie zna dokładnej liczby. Władze, przystępując sporadycznie do ich rejestracji, według własnego widzimisię dającego za każdym razem wiele do myślenia z uwagi na wykazywany liberalizm i wyrozumiałość, nie wciągają do brunatnej kartoteki organizacji i ugrupowań, które z uwagi na ich cele i charakter uprawianej działalności nie różnią się od trafiającej mimo wszystko do rejestru prawicowej ekstremy. Nawet rzetelny klasyfikator nie byłby w stanie wymienić wiarygodnej liczby neonazistowskich i im podobnych związków z tej choćby przyczyny, że w Niemczech Zachodnich trwa ustawiczny proces rozdrabniania i łączenia się neofaszystowskich, rewanżystowskich związków i ugrupowań, zmiana szyl-

ców i dyslokacji siedzib, co wynika z wielu przyczyn. Prawica manewruje, przystosowuje się do zmian na wyższych szczeblach władzy; korzystając z wstrząsów w sferach społeczno-gospodarczych przegrupowuje się pod naciskiem sił antyfaszystowskich zrzeszających coraz szersze siły demokratycznej opinii publicznej kraju, zdającej sobie sprawę, jakim realnym niebezpieczeństwem są hitlerowcy starej i nowej daty.

Prawicowy radykalizm przywdziewa w państwie bońskim rozmaite szaty: „partii", „kół przyjaciół", „związków żołnierskich", „grup amatorów strzelectwa", „wikingów" i „przyjaciół sztuki", które w gruncie rzeczy stanowią jednolity organizm przy zachowaniu podziału podstawowych funkcji.

Jednakże wyznawcami rewanżyzmu są nie tylko neonazistowskie i inne prawicowoekstremistyczne organizacje. Z żądaniami „zjednoczenia Niemiec w granicach 1937 roku" występują liczne „związki wypędzonych". Te same postulaty w nieco mglistych sformułowaniach widnieją w programach partii burżuazyjnych Republiki Federalnej Niemiec; nawoływanie do nowych wypraw po cudze bogactwa jest stałym elementem wystąpień czołowych bońskich polityków i przedstawicieli najwyższego szczebla dowództwa bundeswery. Temat ten omówimy dokładniej w następnych rozdziałach.

1. Za partyjnymi parawanami

W bukiecie obecnych rewizjonistycznych organizacji centralne miejsce zajmuje ponad wszelką wątpliwość Narodowodemokratyczna Partia Niemiec (NPD), założona oficjalnie w 1964 roku. Zaczęła jednak faktycznie zbierać zdeklarowanych rewizjonistów pod brunatne sztandary wkrótce po tym, jak sąd konstytucyjny musiał w 1952 roku zdelegalizo-

wać partię ocalałych hitlerowców — „socjalistyczną partię Rzeszy". Nic też dziwnego, że w momencie rejestracji NPD co najmniej 1/3 jej kadry stanowili członkowie byłej „partii Rzeszy" i 1/3 uczestnicy już wówczas nie istniejących innych ugrupowań prawicowoekstremistycznych. Żeby nie mówić wiele o trzonie partii narodowodemokratycznej w chwili jej uroczystego pojawienia się na legalnym gruncie politycznym, wystarczy wspomnieć, iż co piąty członek NPD był jeszcze przed rokiem 1933 członkiem partii hitlerowskiej.

W poprzednim rozdziale Czytelnik poznał ideologiczne kredo narodowych demokratów i cele tej organizacji, nie ulegające najmniejszym zmianom mimo przesunięć na najwyższych stanowiskach w NPD. Odwiedziliśmy jeden z neonazistowskich „zjazdów", gdzie von Thadden dość trafnie charakteryzując całe to tałatajstwo musiał jednak przekazać ster rządów w partii Mussgnugowi, który wprawdzie w momencie klęski faszyzmu był dziesięcioletnim malcem, ale dzięki odpowiedniemu klimatowi społeczno-politycznemu w zachodnich częściach byłej Rzeszy szybko i gruntownie przejął światopogląd hitlerowców.

Już w pierwszych miesiącach po klęsce konserwatywnego bloku Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej i Unii Chrześcijańsko-Społecznej, tak zwanego bloku CDU/CSU, oraz dojściu w RFN do władzy we wrześniu 1969 roku koalicji socjaldemokratów i wolnych demokratów prawicowi ekstremiści, odczuwając (co prawda bez dostatecznych po temu podstaw) pewne zagrożenie dla swoich rewizjonistycznych dążeń, postanowili rozszerzyć „partyjno-polityczne" przyczółki. Już w 1969 roku neonazista Eckart ze Stollbergu wystąpił w charakterze przedstawiciela „związku niemieckich narodowych socjalistów", a niebawem w różnych miastach Niemiec Zachodnich powstały filie partii, której kierownictwo

nie z powodu słabej wyobraźni, lecz w wyniku nadmiernej pewności siebie i absolutnie przekonane o własnej bezkarności nadało jej dokładną nazwę partii hitlerowskiej — Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza (NSDAP). Akcja ta była pogwałceniem artykułu 139 Ustawy Zasadniczej RFN i bońska Temida postanowiła skarcić Eckarta. Minęło zaledwie 6 lat i skazano go na... cztery miesiące, zwalniając w dwa miesiące później za kaucją. Zachodnioniemieckie organy sprawiedliwości stworzyły za pośrednictwem „sprawy Eckarta" jeszcze jeden precedens ferowania zdeklarowanym neonazistom śmiesznie małych wyroków. Zresztą sama neohitlerowska partia nie poniosła przy tym najmniejszego szwanku.

Po otrzymaniu pomocy z kraju i z zagranicy, zwłaszcza od jednego z prowodyrów amerykańskich nazistów G. Laucka, filie NSDAP w kontakcie z NPD podjęły burzliwą działalność. Nie ograniczając się już do gloryfikacji faszyzmu w licznych broszurach i ulotkach, nawoływań do restytuowania „Wielkich Niemiec" w granicach 1937 lub 1939 roku, pogróżek pod adresem komunistów, związków zawodowych i innych demokratycznych organizacji, ci ekstremiści rozpoczęli aktywne przygotowania do pogromów i terroru. I na tym polu nie byli pionierami, lecz kontynuatorami kursu, który w końcu lat sześćdziesiątych wytyczyła partia neonazistowska von Thaddena.

NPD miała już w owym czasie własne oddziały szturmowe o neutralnej nazwie „służby porządkowej" — „Ordnungdienst". W przededniu pierwszomajowego wiecu Socjaldemokratycznej Partii Niemiec w 1969 roku bojówkarze z tej służby pobili w Penzbergu członka zarządu SPD O. Wernera. Latem tegoż roku byłem naocznym świadkiem krwawych rozpraw ludzi Thaddena z uczestnikami

antyfaszystowskich manifestacji w Pirmasens i we Frankfurcie nad Menem. Neofaszyści puścili wówczas w ruch łańcuchy rowerowe, kawałki rur i kastety oraz szczuli uczestników manifestacji rozwścieczonymi owczarkami. Natomiast 16 września wraz z innymi dziennikarzami zagranicznymi znalazłem się w odległości kilkudziesięciu metrów od miejsca, gdzie jeden z prowodyrów NPD K. Koley podczas kolejnej pogromowej mowy swojego führera wydobył pistolet i położył trupem dwóch antyfaszystów.

W 1970 roku neonaziści „nowej" i „starej" daty połączyli się w szeregach „Aktion Widerstand", która maszerowała jesienią pod hasłami: „Wykończyć czerwonych i całą lewicę!" przez Würzburg i Kassel, gdzie odbywało się spotkanie przewodniczącego Rady Ministrów NRD Willi Stopha i kanclerza Willy Brandta, a także przez inne zachodnioniemieckie miasta z pochodniami, dokonując porachunków z demokratami. Związkowa gazeta „Einheit" pisała wówczas: „Znaleźliśmy się w epicentrum prawicowo-radykalnego gangsterstwa".

Instancje sądownicze dość rzadko reagowały na ekscesy prawicy z szeregów narodowych demokratów, neohitlerowców i innych ugrupowań zaliczających siebie do tworów partyjno-politycznych. W lutym 1969 roku sąd w Hanowerze potwierdził, że „NPD ma charakter neonazistowski, antydemokratyczny i prawicoworadykalny. Atakuje demokrację parlamentarną i związki zawodowe..." Jednakże nawet w tych nielicznych przypadkach wszystko kończyło się na stwierdzeniu faktów i właściwie nie podejmowano żadnych skutecznych kroków. Natomiast większość sądów, organy ministerstwa spraw wewnętrznych i „urząd ochrony konstytucji" nie tylko nie zwracały najmniejszej uwagi na nasilenie neonazistowskiego terroru, lecz nawet usprawiedliwiały

go, zachęcając tym samym rewanżystów do nowych ekscesów.

Nawet podczas nielicznych i przypadkowych rewizji u członków partii neofaszystowskich i ugrupowań uchodzących za polityczne wykryto mnóstwo odwetowych publikacji i całe arsenały broni. W grudniu 1978 roku policja skonfiskowała w hotelu „Pod Złotym Lwem" w Hanau, oprócz hitlerowskich akcesoriów, amunicję do karabinów maszynowych i pistoletów oraz granaty należące do członka NPD Pospischinskiego. W 1979 roku wybiorcze rewizje w Stuttgarcie i Karlsruhe umożliwiły skonfiskowanie neonazistowskim „politykom" broni maszynowej i amunicji. W tymże roku policja wykryła kilka skrytek należących do miejscowej komórki NSDAP, w których na „godzinę X" czekały karabiny maszynowe, pistolety, a także ogromna ilość amunicji i wiele broni białej. W skład komórki wchodziły nie tylko osoby cywilne, ale również funkcjonariusze Bundeswery i policji granicznej.

Jeden z liderów NPD H. Wichmann, który zbiegł do Argentyny i niezbyt już się obawiał zemsty byłych kolegów, oświadczył w lipcu 1980 roku w wywiadzie dla „Westfälische Rundschau": „...Żeby nie przynieść ujmy NPD, postanowiono zaangażować członków «grup amatorów strzelectwa, którzy dysponowali materiałami wybuchowymi»". Przygotowywano więc wspólnie serię eksplozji w studiach telewizyjnych i zamachów na postępowych dziennikarzy po pokazie demaskatorskiego filmu „Holocaust".

Autor pragnie raz jeszcze zwrócić uwagę Czytelnika, że niniejszy rozdział traktuje, jak dotychczas, o partyjno-politycznych organizacjach neonazistów, którym władze oficjalnie zezwoliły w tym charakterze na udział w życiu społeczno-politycznym Republiki Federalnej Niemiec. Umożliwia się im organizowanie zebrań, werbowanie nowych członków, zwoływanie

wieców i manifestacji oraz wysuwanie własnych kandydatów do terenowych organów władzy, landtagów i do bundestagu.

Wspomniany już artykuł 139 Konstytucji RFN głosi: „Konstytucja nie dotyczy norm prawnych podjętych w celu uwolnienia narodu niemieckiego od narodowego socjalizmu i militaryzmu". Innymi słowy, wszystkie antyfaszystowskie ustawy i odnośne akty prawne, podjęte w swoim czasie przez mocarstwa sojusznicze, pozostają w mocy. Samo istnienie, nie mówiąc już o rewanżystowskiej działalności NPD i pokrewnych jej organizacji, jest brutalnym pogwałceniem podstaw konstytucji. Jawne nawoływania rewanżystów do nowego „Drang nach Osten" (parcia na Wschód), do agresywnych wypraw po obce bogactwa oraz niezamaskowana militarystyczna propaganda kolidują również z Kodeksem Karnym RFN, którego § 80 przewiduje pozbawienie wolności na okres do pięciu lat osób, które „rozpowszechniając publikacje, nagrania dźwiękowe, rysunki i obrazy podżegają do agresywnej wojny".

Wbrew wszelkim ustawom NPD i jej podobne partie bez najmniejszych przeszkód nie tylko trudnią się politycznym rozbojem, lecz także uprawiają krwawy terror wymierzony przeciwko prawdziwym patriotom, przeciwko wszystkim obywatelom kraju, którzy z przekonań są demokratami.

Analizując strukturę organizacyjną prawicowego radykalizmu w Republice Federalnej Niemiec, nie narażamy się bynajmniej na utracenie orientacji w często zmieniających się nazwach organizacji, grup i ugrupowań. Zmiana proporców i uniformów, chaotyczne na pierwszy rzut oka przegrupowywanie neonazistowskich szeregów nie jest w stanie zatuszować złowrogiej i wyrazistej jak swastyka ogólnej organizacji neonazistów. Każdy oddział otrzymuje własne

zadanie, każdy z nich ma konkretne miejsce w jednolitych ramach ruchu odwetowego.

Za pośrednictwem takich organizacji partyjno-politycznych, jak NPD, nowa Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza, oraz ich odgałęzień, które sporadycznie powstają i znikają z areny politycznej, zmierza się w pierwszym rzędzie do utworzenia ośrodka ideologicznego i polityczno-organizacyjnego prawicowej ekstremy oraz jej politycznej tuby. Gromko wysuwa się za jej pośrednictwem roszczenia, o których nie zawsze wypada mówić działaczom, sprawującym oficjalną władzę.

Pozostałym związkom jednolitej armii rewanżystów powierza się inne zadania.

2. „Grupy amatorów strzelectwa"

Theresienwiese — „terezjańskie pola" — były zapewne niegdyś obszarami zieleni poza granicą miejską Monachium. Jednakże stolica Bawarii już dawno przekroczyła najbliższe okolice gmachami banków, pełnymi powagi blokami firm przemysłowych, przywdzianymi w jaskrawe neony towarzystwami handlowymi, krzykliwymi i ludnymi jak nigdzie piwiarniami i osiedlami mieszkaniowymi — szeregami ponurych domów koszarowego typu lub luksusowymi willami tonącymi w zieleni.

Theresienwiese poważnie ucierpiały z powodu urbanizacji, pozostały jednak mimo wszystko ulubionym zakątkiem Monachium, dokąd przyjeżdża się z całej Bawarii na dożynki, Oktoberfest — święto wina i piwa, na festiwale sztuki, kongresy naukowe, a niekiedy na zloty wątpliwego autoramentu. W słoneczną pogodę jest to chyba najbardziej ożywiony zakątek Monachium.

26 września 1980 roku był pięknym pogodnym

dniem. Po Theresienwiese spacerowały tłumy z lekka podchmielonych Bawarczyków, zresztą i bez tego nikt chyba nie zwróciłby uwagi na samochód, z którego wysiadł młody człowiek z ciężkim plastykowym workiem, zmierzając do zasobnika na śmieci. Uniósł worek i wrzucił go do śmietnika. W tej właśnie chwili rozległa się potworna detonacja. 12 osób poniosło śmierć, a 200 doznało obrażeń. W kilka dni później ustalono ponad wszelką wątpliwość, że sprawca eksplozji Gundolf Keler jest członkiem „koła amatorów strzelectwa", któremu przewodzi Karl-Heinz Hoffmann.

W lutym 1977 roku frankfurcki tygodnik „Die Tat" zamieścił na swoich łamach fotoreportaż z manewrów uzbrojonych po zęby grup mężczyzn. „To, o czym nawet nie mogły marzyć SA ani SS przed dojściem Hitlera do władzy — pisał tygodnik — znajdowało się w rękach oddziału wojskowego z «grupy strzeleckiej» Hoffmanna".

Jego banda nie pojawiła się niespodzianie, lecz wyrosła z ubolewania godną prawidłowością na tymże gruncie, starannie spulchnionym przez ojców państwa bońskiego i ich przyjaciół zza oceanu. Natomiast Hoffmann jest wytworem powojennego rozwoju w zachodnich regionach byłej III Rzeszy. U schyłku wojny miał zaledwie 8 lat, a hitlerowską edukację otrzymał już w Republice Federalnej Niemiec, która się szczyci swą demokracją i praworządnością. W 1968 roku narobił niemało wrzawy stawiając się na miejski karnawał w Norymberdze na czele oddziału w mundurach SS i ze swastykami na rękawach. Burżuazyjna prasa i politycy z obozu konserwatystów pośpiesznie uznali ten eksces za niewybredny żart.

Esesman nowej generacji, zachęcany pobłażliwą postawą władz, pośpiesznie formował paramilitarne grupy szturmowe, już nie ukrywając celu, w jakim

powstają. „Pragniemy przeciwstawić totalnemu chaosowi totalny ład. Uważamy się za żołnierzy, za tamę na czerwonym nurcie... Przygotowujemy się do «dnia X», kiedy policja nie potrafi się sama uporać z lewicowym niebezpieczeństwem... Nie istnieją dla nas żadne okoliczności powstrzymujące w dążeniu do wystąpienia przeciwko komunistom".

Hoffmann ułożył cały manifest składający się z podobnych wypowiedzi, który nie budził najmniejszych wątpliwości, w imię czego montowane są paramilitarne oddziały terrorystyczne na modłę SA i SS. W polityce zagranicznej również potwierdza on swoją absolutną przynależność do ogólnego obozu odwetowców oświadczając, że „pojęcie Niemiec obejmuje wszystkie utracone terytoria niemieckie".

„Amatorzy strzelectwa", pozostawiając wywody na temat prawa, ładu i wad parlamentaryzmu kolegom z NPD i innych partii neonazistowskich, intensywnie opanowują posługiwanie się bronią palną, szkolą się w zakresie korzystania z materiałów wybuchowych, ćwiczą karate i sposoby walki wręcz. Jak stwierdziła gazeta „Deutsche Volkszeitung", „faszyści modelują w praktyce wojnę domową", dokonując w Tübingen 4 grudnia 1976 roku krwawej masakry uczestników antyfaszystowskiej manifestacji. Napad z pałkami, łańcuchami, hakami, kawałkami rur i kabla elektrycznego (tym razem nie użyto jeszcze broni palnej) trwał zaledwie 90 sekund, ale sześciu uczestników manifestacji doznało ciężkich obrażeń. Wobec terrorystów nie podjęto nawet formalnego przewodu sądowego.

W 1978 roku Hoffmann doszedł do wniosku, że stare ośrodki treningowe są już za ciasne, i przeniósł siedzibę do zamku Ermreut w Neukirchen. Protesty okolicznych mieszkańców nie dały wyników, albowiem — jak oświadczyły władze gminne — „transakcję już zawarto". A przecież można było

uniknąć tej transakcji wiedząc, kim jest nabywca, i pamiętając dzieje sprzedanego zamku. Przed 1933 rokiem Ermreut było miejscem spotkań uczestników hitlerowskiego „Stahlhelmu", a później rozmieszczono tam jedną ze szkół partii hitlerowskiej.

Szkolenie w zamku o hitlerowskich tradycjach szło rzezimieszkom Hoffmanna na korzyść. W tymże roku wyróżnili się zbójecką napaścią na zebranie komunistów w Führt, przemaszerowali przed ratuszem w Norymberdze w pełnym uzbrojeniu, w hełmach i z esesowskimi „trupimi czaszkami" na rękawach. Dokonali kilku napaści z bronią w ręku na ludzi o postępowych zapatrywaniach i demokratyczne organizacje, na przykład w rejonie między Norymbergą i Monachium, oraz założyli kilka tajnych arsenałów.

Organizacja ta coraz bardziej upodabniała się do grup terrorystycznych w czasach hitleryzmu. Zastępca Hoffmanna, Arndt Marx z Hanau, rozmawiając z reporterami w 1980 roku oświadczył bez ogródek:

— Jak postąpicie, jeśli wydadzą wam rozkaz zabijania ludzi?

— Mój szef wie, co robi. Jeśli mi wyda taki rozkaz, wykonam go bez namysłu.

Czy nie jest to stara śpiewka: „Führer myśli za was!", którą goebbelsowska propaganda wbijała w głowy milionom Niemców? Nowy führer Hoffmann wymagał od podwładnych bezwarunkowego posłuszeństwa, myślał o formowaniu coraz to nowych paramilitarnych grup do zwalczania ludzi o innych przekonaniach i powiększania stref brunatnego terroru. A o czym myślały władze, do których niemal codziennie docierały dowody sprzecznej z konstytucją i występnej działalności uczestników „kółka amatorów strzelectwa"?

W maju 1974 roku bawarski minister spraw wewnętrznych Bruno Merk nie dopatrzył się żadnych „sprzecznych z prawem motywów" w działalności

grupy Hoffmanna. W sierpniu policja skonfiskowała w jego byłej posiadłości Almoshof broń i nazistowskie akcesoria, uważając widocznie problem za wyczerpany. Jednakże sprawy miały się inaczej. Odbywały się jawne ćwiczenia, przygotowania do ekscesów, detonowania bomb i podkładania ognia.

Niekiedy neohitlerowskich bandytów pociągano do odpowiedzialności karnej z dużym opóźnieniem. Do sprawców masakry antyfaszystów 4 grudnia 1976 roku zachodnioniemiecka Temida dobrała się dopiero po upływie trzech lat, wymierzając im groszowe grzywny.

Na początku 1980 roku władze dowiedziały się, że ludzie Hoffmanna wyrabiają rozmaite urządzenia detonujące. Führer amerykańskich nazistów Lauck i zachodnioniemiecki terrorysta neohitlerowski Kühnen, którego już przedstawiliśmy Czytelnikowi, niezwłocznie udzielili Hoffmannowi rady: „Nie można dopuścić do ujawnienia tej broni... Nawet najlepsza skrytka we własnym domu lub nie opodal nie zapewnia należytych gwarancji".

Niebawem nastąpiła tragiczna eksplozja na Theresienwiese. Policja rozpoczynając spóźnioną pogoń nie była, rzecz jasna, w stanie wykryć głównych arsenałów, zebrano jednak sporo „drobiazgów". W Düsseldorfie jednemu z członków grupy Hoffmanna skonfiskowano kilogram materiału wybuchowego, granaty, pociski i miny, innemu, również w Düsseldorfie — kilka tysięcy naboi i granatnik z amunicją. 30 października 1981 roku w Lüneburskim Pustkowiu nie opodal Hanstedta znaleziono w lesie 88 skrzynek z bronią i amunicją. Trop prowadził do Heinza Lembke, który utrzymywał ścisłe kontakty z organizacją Hoffmanna. W przededniu obiecanego prokuratorowi terminu ujawnienia nazwisk kierowników i kamratów znaleziono w celi zwłoki Lembkego; śmierć

nastąpiła wskutek powieszenia — „milczenie jest srebrem, ale śmierć — złotem".

Od początku 1978 do pierwszych dni 1982 roku — późniejszych uogólnionych danych władze, niestety, nie publikowały — neonazistowskim bojówkarzom skonfiskowano: 516 kg materiałów wybuchowych, 2743 zapalniki, 415 tys. nabojów, 45 peemów, 3 karabiny maszynowe, 2786 karabinów ręcznych i pistoletów, 38 bomb i min, 52 pancerzownice i 20 rakiet. A ile broni nie wykryto? Nikt chyba nie potrafi zaprzeczyć, że to, co odnaleziono, pozostaje w takiej samej proporcji do nie wykrytej broni, jak widoczna część góry lodowej do jej części podwodnej, albowiem zarówno neohitlerowcy znacznie usprawnili swoje metody konspiracji, jak i poszukujący nie wykazują tak dobrze znanej niemieckiej gorliwości i sumienności. Jak oświadczył ekspert SPD do spraw bezpieczeństwa Pensky, broń, którą neonaziści dysponowali w 1979 roku, „wystarczyłaby w zupełności do wyposażenia całej armii w razie wojny domowej".

W styczniu 1980 roku, w sześć lat po znanych masakrach, grupa Hoffmanna została zdelegalizowana, jednakże nowy führer pozostawał na wolności, przygotowując się do nowych aktów terroru. Niebawem też nastąpiła eksplozja na Theresienwiese, jednakże sześciu aresztowanych członków „kółka amatorów strzelectwa", w tym również i Hoffmann, znalazło się wkrótce na wolności, chociaż w mieszkaniu führera znaleziono instrukcję pod zakodowanym tytułem „Bajki o złym wilku", w której właśnie Hoffmannowi udzielano wskazówek dotyczących wykonania rozmaitych ładunków wybuchowych.

Sam fakt delegalizacji bandy Hoffmanna nie zahamował działalności tych neonazistowskich organizacji — stwierdzono w fundamentalnej pracy R. Schneidera „SS — to ich wzór". W Republice Federalnej Niemiec — podkreśla autor — istnieją

wszelkie przesłanki do działalności naśladowców Hoffmanna. Po objęciu zakazem jego grupy powstały analogiczne organizacje w Fuldzie, Krefeld, Hagen, a także w wielu innych miastach. „Zdelegalizowani" brunatni terroryści przenieśli się spokojnie do nowych organizacji, w których uprawiają swój występny proceder.

Część rzekomo „prześladowanych" wyjechała za granicę, gdzie „kółka amatorów strzelectwa" już od dawna mają sympatyków. Jeszcze w 1978 roku bojówkarze Hoffmanna odbyli wspólne manewry z belgijskimi neofaszystami z organizacji „Vlaams Militanten Orden". Nieco później w Bawarii w ćwiczeniach wojskowych uczestniczyli również francuscy terroryści z organizacji FNE, a w ślad za nimi jeszcze jedna grupa belgijskich neohitlerowców „Koledzy z Flandrii". Nie pozostali również w tyle brytyjscy faszyści, którzy nawiązali trwałe kontakty z zachodnioniemieckimi neonazistami. Najbliższy współpracownik Hoffmanna A. Marx był w 1981 roku witany z wielką pompą przez rzezimieszków z brytyjskiej neofaszystowskiej „Georgs-Liga". Austriacki nazista H. Schönangerer utworzył specjalną organizację pod nazwą „Związek pomocy dla kółek amatorów strzelectwa w RFN".

Niewiele w tych warunkach znaczą papierowe zakazy i nieliczne aresztowania brunatnych terrorystów, którzy w dodatku po wyjściu z sali sądowej, zanim się jeszcze zapoznali z dozorcami, niezwłocznie opuszczają cele więzienne. Delegalizacje neohitlerowskich organizacji — zjawisko ogromnie rzadkie, stanowiące bowiem niecały procent ich ogólnej liczebności — są czymś wręcz karykaturalnym również dlatego, że wystarczy nieznaczne przemalowanie szyldu z dodaniem kilku jaśniejszych tonów, żeby władze oficjalnie odpuściły im stare przewinienia, udzielając formalnych zezwoleń na popełnianie ich w

przyszłości. Dopóki sądowa kwadryga ruszy z miejsca, grzęznąc po drodze w błocie prawniczej kazuistyki, neohitlerowskie bojówki przez lata całe uprawiają swój niecny proceder.

3. „Front" rusza do szturmu

„Front akcji narodowych socjalistów" już nam znanego Michaela Kühnena, utworzony w Hamburgu w 1977 roku jako organizacja jawnie terrorystyczna, zgodnie z intencją organizatorów miał się stać partią skrajnie prawicową, walczącą o mandaty deputowanych zarówno w terenowych organach władzy, jak też w landtagach i bundestagu. Innymi słowy, miała przebyć odległość odpowiadającą umownie drodze od „kółek amatorów strzelectwa" do NPD i innych podobnych zjednoczeń politycznych neonazistów.

Nietrudno dostrzec, że ten dryf „frontu akcji" od faszystowskiego bandytyzmu do prawicowych nacjonalistów umożliwiał rozstrzyganie ważnych problemów ogólnego prawicowoekstremistycznego ruchu w Republice Federalnej Niemiec. Po pierwsze, jeszcze bardziej umacniały się powiązania neohitlerowskich polityków i terrorystów tego samego autoramentu. Po wtóre, powstawał jakby zbiornik, w którym w razie potrzeby gromadzili się neofaszyści z politycznej niwy i ich adherenci — spece od „mokrej roboty". Po trzecie, powstawały dodatkowe możliwości uprawiania dalszej profaszystowskiej roboty, jeśli jedna z najaktywniejszych neonazistowskich grup znajdzie się poza nawiasem legalnej działalności.

Głębsza analiza przysporzyłaby bez wątpienia materiału do bardziej szczegółowych refleksji, powróćmy jednak do konkretnych wydarzeń. Zarówno pierwsze kroki, jak i strategiczne cele „frontu akcji narodowych socjalistów" wymagały broni i pieniędzy. W

listopadzie 1977 roku, niebawem po swoim oficjalnym pojawieniu się na światło dzienne, narodowosocjalistyczny „front" Kühnena dokonuje napadu na koszary bundeswery w Wentorf, zdobywając kilka pistoletów maszynowych. Na początku grudnia ofiarą napadu z bronią w ręku pada kilku przedsiębiorców w Kolonii, a w dwa tygodnie później ludzie Kühnena napadają na magazyny amunicji w Reinbek, uzupełniając swoje arsenały znaczną liczbą nabojów i zapalników. W końcu grudnia „front" Kühnena powraca do finansowej specjalizacji, a obiektem akcji stają się hamburskie kasy oszczędności. Natomiast 5 grudnia 1978 roku zaatakowano poligon NATO w Bergen-Hon. Tym razem siły nie były równe i łupem prawicowych ekstremistów padły zaledwie cztery pistolety maszynowe.

Było to pokłosie pierwszych miesięcy. Tak sobie poczynał legalnie uznany przez władze „front akcji narodowych socjalistów" Kühnena w Hamburgu. Sieć tej organizacji omotała niebawem właściwie wszystkie większe rejony Niemiec Zachodnich. Kamraci Kühnena terroryzowali w Bokel (Szlezwik-Holsztyn) całą okolicę, stosując brutalną przemoc wobec każdego, kto usiłował stawić im opór. W maju 1980 roku pięciu bandytów zasiadło na ławie oskarżonych pod zarzutem grabieży i masakrowania ofiar. Jednakże w akcie oskarżenia nie było nawet wzmianki o neohitlerowskiej działalności podsądnych. Ferowany wyrok nadaje się w pełni do podręczników kryminologii, prawa i postępowania karnego jako przykład całkowitego braku konsekwencji organów wymiaru sprawiedliwości. Jeden z nich zapłacił grzywnę w wysokości 500 marek, a pozostali wykręcili się kilkoma miesiącami aresztu „w zawieszeniu", przy czym niezwłocznie znaleźli się na wolności.

Kühnen trafił jednak za kratę, ale po wyjściu w końcu 1982 roku z więzienia w Zell niezwłocznie

zmodernizował swoją organizację, zmieniając nazwę na „narodowych aktywistów". „Front akcji" rozszerzył się nie tylko w nazwie, proklamował bowiem „walkę o niepodlegle Wielkie Niemcy". Miejscowe organizacje „frontu" upstrzyły na kształt brunatnej ospy terytorium Niemiec Zachodnich od Würzburga do Kilonii i Kühnen wyruszył w teren na inspekcję nazwaną oficjalnie „wizytacją kierownictwa organizacji". Został, rzecz jasna, führerem, natomiast jego prawą ręką był T. Brel z Fuldy, krewny hitlerowskiego gauleitera okręgu Magdeburg-Anhalt. Liczba członków zmodernizowanej neohitlerowskiej organizacji rosła jak grzyby po deszczu. Honorowym przewodniczącym został niejaki Willi Kremer, były współpracownik Goebbelsa, a inne nie mniej zaszczytne stanowiska zajęli byli hitlerowcy podobnego autoramentu.

Rozwijała się również struktura organizacyjna „frontu akcji". Bez nadmiernej inwencji skopiowano partię hitlerowską z jej „korpusem przywódców politycznych", „ochroną sztabów", „organizacją komórek według zasady produkcyjnej", z „resortem światopoglądu narodowosocjalistycznego i szkolenia", „służbą prasową", a nawet „związkiem dziewcząt". Szczególne zasługi Kühnen osobiście wyróżniał złotymi i srebrnymi odznakami „honorowymi".

Władze nie mogły lekceważyć prawdziwej burzy protestów ze strony rozmaitych organizacji demokratycznych Republiki Federalnej Niemiec i ministerstwo spraw wewnętrznych 7 grudnia 1983 roku zdelegalizowało „front". Jednakże w dniu tym Kühnen oświadczył dziennikarzom: „Będę działać nadal". Tuba organizacji, gazeta „Innenfront" (Front Wewnętrzny), zmieniła nazwę na „Neue Front" (Nowy Front), a zaledwie w miesiąc po delegalizacji „frontu" Kühnen obwieścił w swoim szmatławcu: „Władze zrezygnowały z nadzoru, mogę więc nadal działać w

całej rozciągłości. Zakaz — dodał triumfalnie nowy führer — nie dał żadnych wyników".

Organizacje, które przejęły sztafetę „frontu akcji" Kühnena, bez najmniejszych przeszkód ze strony organów sprawiedliwości i policji dokonują ekscesów i wydają rewanżystowskie publikacje propagandowe — „Frankfurter Front", „Mainer Widerstand" i „Pinneberger Beobachter". W swoim biuletynie informacyjnym członkowie „antykomunistycznego zrzeszenia Pinnebergu" oświadczyli wręcz, że większa część ich związku należała do „frontu akcji narodowych socjalistów (narodowych aktywistów)" i nowym zrzeszeniem kieruje „doświadczony wódz" z „frontu akcji". Dla podkreślenia wierności „nowych" „starym tradycjom" pismo skwapliwie powiadamia czytelników, że „nadszedł czas wypowiedzenia komunizmowi bezlitosnej wojny".

A tymczasem Kühnen rozjeżdża po świecie, spotyka się z H. Lauckem — jednym z führerów amerykańskich nazistów, z byłym dowódcą ochotniczej brygady wojsk SS „Valonia" L. Degrelle — jednym z założycieli neofaszystowskiej „czarnej międzynarodówki", umacniając międzynarodową brunatną sieć i przekonując się raz jeszcze z własnego doświadczenia, jak niewiele znaczą papierowe pociski, którymi oficjalne władze sporadycznie ostrzeliwują bastiony neohitleryzmu.

4. Czarna gwardia Hitlera

Nad warowniami „frontowych" narodowych socjalistów jawnie powiewają flagi ze swastyką. Z równie wyzywającą otwartością SS przekształcana jest w obiekt gloryfikacji i fanatycznego naśladownictwa, poczynając od emblematów i symboli, a kończąc na esesmańskim duchu. W poszukiwaniu wzorów nie

trzeba sięgać do lat przedwojennych i okresu wojny lub studiować w archiwach ponurej historii wojsk SS — zgrai morderców, których głównym celem była eksterminacja ludności krajów okupowanych. Około 300 tys. esesmanów pędzi dotychczas spokojny żywot w Republice Federalnej Niemiec nie tylko bez potrzeby ukrywania się, lecz na odwrót — zrzeszonych w federalnym zjednoczeniu żołnierzy byłych wojsk SS (HIAG).

Utworzono je w pięć lat po tym, jak Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał wojska SS za występną organizację. Nie zdążono jeszcze przekazać do archiwum dokumentów trybunału, kiedy esesmani ponownie stanęli w kolumnach. Zresztą jeszcze przed powstaniem tego związku oprawcy w czarnych mundurach zmontowali tajną „organizację byłych esesmanów" — „Organisation der ehemaligen SS-Angehörigen" (ODESSA), która ułatwiła ucieczkę (głównie przez Austrię i Włochy do Brazylii, Argentyny i Paragwaju) setkom hitlerowskich rzezimieszków wraz ze zrabowanymi bogactwami, co im zapewniło życie w warunkach luksusu.

Nie przymierali również głodem esesmani pozostali w zachodnich strefach byłej III Rzeszy. Do roku 1950, kiedy w RFN uchwalono ustawy emerytalne, byli esesmani otrzymywali państwowe zasiłki. Początkowo ci, którzy znaleźli się w jednostkach SS z poboru, później ci, którzy ochotniczo stanęli pod sztandarami ze swastyką i z własnej nieprzymuszonej woli przypięli esesmańskie naszywki, a następnie także ci, którzy w składzie dywizji „Totenkopf" mordowali miliony ludzi w obozach zagłady. Pozostałe przy życiu ofiary hitleryzmu musiały przez całe lata obijać progi zachodnioniemieckiego resortu do spraw uposażenia emerytalnego, żeby po zebraniu mnóstwa dokumentów i zaświadczeń otrzymać wreszcie środki egzystencji. Dla byłych esesmanów przyznanie im

emerytury wymagało o wiele mniej formalności — wystarczała bowiem w zupełności książeczka żołdu wojsk SS.

Obecnie 118 oddziałów HIAG we wszystkich rejonach Niemiec Zachodnich przekształciło się w stały generator prawicowej ekstremy w tym kraju. Po zachowaniu występnych nazw swoich dywizji „Totenkopf", „Führer", „Leibstandarte Adolf Hitler", „Hitlerjugend", „Das Reich", „Horst Wessel" ludzie ci sławią kult przemocy i niesłychanych zbrodni popełnionych w latach hitlerowskiego rozboju. Na jednym ze zlotów w kwietniu 1983 roku w Minden były dowódca szkoły oficerskiej SS i adiutant Hitlera, obersturmbannführer Schulze-Kossens oświadczył, że „esesmani, podobnie jak i wszyscy żołnierze wermachtu, walczyli podczas drugiej wojny światowej o wolność". Podkreślając bezpośrednią więź między hitlerowskimi agresorami i tymi, którzy ponownie przygotowują się do grabieżczych wypraw, adiutant Hitlera nie bez dumy oświadczył z trybuny tego zlotu: „Byliśmy ostoją w walce z tym samym nieprzyjacielem, który jest obecnie przeciwnikiem NATO".

Czy trzeba mówić, że już to samo pryncypialne stanowisko HIAG tłumaczy nie tylko liberalny stosunek do tej organizacji, ale także bezpośrednią pomoc, jakiej udzielają jej władze bońskie. Zloty byłych esesmanów — lokalne, krajowe i federalne — odbywają się jeden po drugim; gloryfikuje się faszyzm we wszystkich jego barbarzyńskich przejawach, oddaje zmarłym oprawcom honory wojskowe. Jeden z prowodyrów HIAG Stenwedel, przemawiając na wiecu pamięci straconych w Norymberdze głównych hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, przy wtórze wrzasków wiwatującego tłumu wzniósł patetyczny okrzyk: „Witam was, moje Niemcy!" Rewanżystowska wrzawa, tęsknota za czasami, które przeminęły.

HIAG ma własne tuby propagandy antyhumanitarnych idei i wychowywania dorastającego pokolenia w nazistowskim duchu. Od wielu lat ukazuje się pismo „Der Freiwillige", pełne uznania dla „supermanów" w mundurach SS, „szlachetności i przyzwoitości" siepaczy, „wierności obowiązkowi, zasadom koleżeństwa i vaterlandowi", wypaczające historię drugiej wojny światowej — pismo, które, rzecz jasna, nie szczędzi także ponurych barw i uwłaczających określeń dla wszystkiego, co ma choćby najmniejszy związek z socjalizmem, demokracją i postępem.

Na byłych esesmanów pracuje całe wydawnictwo — Munin-Verlag w Osnabrück. W 1983 roku rozpoczęto edycję serii książek „Formacje SS w latach wojny". Te rzekomo dokumentalne publikacje przedstawiają czytelnikowi bandytów w czarnych mundurach jeśli nie w postaci uskrzydlonych aniołów, to co najmniej jako wzorowych żołnierzy, którzy oczywiście walczyli o wolność. W jednym z reklamowych prospektów tej serii podkreślono, że „setki tysięcy szeregowych i oficerów SS dawało dowody męstwa i gotowości do ofiar, co jest ogólnie uznanym miernikiem prawdziwych wartości każdego wojska". Nie męstwo, lecz barbarzyństwo wykazywali esesmani, rozstrzeliwując, paląc w krematoriach i uśmiercając w komorach gazowych starców, kobiety i dzieci, rabując cudze bogactwa. Nie wykazywali gotowości do ofiar, ale pozostawiali po sobie stosy trupów, ruiny i zgliszcza. Książki wydawnictwa z Osnabrück popularyzują wojnę, nawołując do kształtowania armii zachodnich na modłę SS. W jednej z nich stwierdzono bez ogródek, że Zachód tylko wówczas potrafi wygrać przyszłą wojnę światową, jeśli „wykorzysta i zastosuje doświadczenie wojsk SS w walce z bolszewizmem światowym".

HIAG uporczywie zmierza do podzielenia się swoimi doświadczeniami z bundeswerą, zyskując całkowite zrozumienie obecnych zachodnioniemiechich gene-

rałów i oficerów. 27 kwietnia 1976 roku w klubie wojskowym bundeswery w Sonthofen odbyło się spotkanie byłych esesmanów z dywizji „Maria Theresia", „Florian Geyer" i „Lützow", na którym były generał SS Lombard wręczył krzyż rycerski swojemu kamratowi z krwawych zbrodni. W tym również roku oprawcy z dywizji „Totenkopf", którzy pastwili się nad więźniami Dachau i Buchenwaldu, uczestniczyli w ceremonii złożenia przysięgi wojskowej w dwóch kompaniach bundeswery w Arolsen. Orkiestry bundeswery wykonują, w tym również dla nagrań dźwiękowych, marsze skomponowane w swoim czasie specjalnie dla jednostek SS. Kontakty między opryszkami w czarnych mundurach i żołnierzami bundeswery, objęte niegdyś oficjalnym zakazem, stale się rozszerzają i zacieśniają. W odpowiedzi na żądanie demokratycznej opinii publicznej RFN, domagającej się delegalizacji zjednoczenia żołnierzy byłych wojsk SS, które stało się nader ważnym ogniwem łańcucha systemu profaszystowskich organizacji państwa bońskiego, rząd Niemiec Zachodnich podjął w końcu sierpnia 1983 roku specjalną uchwałę, na mocy której HIAG wyłączono z listy organizacji prawicowoekstremistycznych. Czy postępując w taki sposób Bonn nie szydzi z wyroku norymberskiego Sądu Narodów?

Nikt nie ma prawa wymazywać z pamięci zbrodni SS. Krwawy ślad tej bandy zbirów prowadzi od dzielnic robotniczych niemieckich miast, gdzie w 1933 roku rozpoczął się hitlerowski terror wobec komunistów, do bestialskich zbrodni faszystów na terenie okupowanych krajów w latach drugiej wojny światowej. Bandyci z SS żyją do dziś w Republice Federalnej Niemiec, organizują „tradycyjne spotkania" krzewiąc i kultywując ponure hitlerowskie tradycje oraz stanowiąc niezawodną ostoję sił prawicowego ekstremizmu.

5. Marsz naprzód drogą wiodącą wstecz

Podobnie jak każdy dziennikarz cudzoziemiec, pracujący w Niemczech Zachodnich, wielokrotnie rozmawiałem na temat rewanżyzmu w RFN z przedstawicielami różnych sfer politycznych, przywódcami partii reprezentowanych w bundestagu, z ministrami; podczas konferencji prasowych zadawałem pytania kanclerzom federalnym. Amplituda odpowiedzi przedstawicieli władz oficjalnych wykazuje nieznaczne wahania. A więc zazwyczaj albo się twierdzi bezapelacyjnie, że prawicowe niebezpieczeństwo w Republice Federalnej w ogóle nie istnieje, lub też mimo wszystko nie neguje się tego faktu, wyjaśniając niezwłocznie, że rozmiary i wpływy prawicowoekstremistycznych sił odwetowych są „wręcz znikome".

Wywody głoszące, że nad brzegami Renu w ogóle nie istnieje prawicowe niebezpieczeństwo, są zgoła pozbawione sensu, ponieważ to właśnie zagrożenie codziennie maszeruje ulicami miast i wsi Niemiec Zachodnich, organizuje zloty i kolportuje, według najnowszych danych, ponad półtora miliona egzemplarzy publikacji propagandowych, uzupełnia arsenały, reorganizuje swe szeregi i zmienia szyldy. Powoływanie się na nieznaczną liczebność także jest pozbawione podstaw. Przy ocenie prawicowego ekstremizmu liczby absolutne nie zawsze dają obraz tego niebezpieczeństwa, a tym bardziej jego perspektyw. Hitler wstępując do partii faszystowskiej był zaledwie siódmym członkiem tej organizacji, a w kilka lat później całe Niemcy znalazły się w brunatnej matni. Nieco później faszyzm wciągnął świat w wojenną pożogę, która pochłonęła ponad 50 milionów istnień ludzkich.

Dzień dzisiejszy oraz przyszłość prawicowego ekstremizmu i rewanżyzmu określają nie arytmetyczne wykazy, lecz warunki środowiska, w którym kształtu-

ją się i nabierają mocy najbardziej reakcyjne organizacje, a rewizjonistyczne idee ogarniają coraz szersze warstwy nie tylko polityczne, ale także społeczne. Natomiast w Niemczech Zachodnich z każdym rokiem powiększa się masowa baza rewanżyzmu, szeroka struktura organizacyjna i ideologiczna ogarniająca właściwie wszystkie sfery życia od wychowania na ławie szkolnej do propagandy.

Jeszcze przed powstaniem Republiki Federalnej Niemiec do politycznego leksykonu świadomie włączono takie pojęcia, jak „wypędzenie" i „wypędzeni". Od samego początku miały one wpajać ludziom przekonanie o „krzywdzie" wyrządzonej tym, którzy na mocy międzynarodowych porozumień zostali przesiedleni do Niemiec Zachodnich z niektórych obszarów hitlerowskiej Rzeszy, przywłaszczonych i zgermanizowanych w wyniku zaborczych wojen. Niebawem przy całkowitym zaangażowaniu sił niemieckiej reakcji i poparciu imperialistycznych kręgów USA powstały związki „wypędzonych" i „ziomkostwa" zrzeszające nie tylko przesiedleńców do RFN, ale także ludzi, którzy się nigdzie nie przesiedlali, lecz urodzili się i wychowali w państwie bońskim.

Uchwalona w 1953 roku i obowiązująca do dziś „Ustawa o wypędzonych" zalicza do grona tych ostatnich nie tylko samych przesiedleńców, lecz także ich krewnych „w płaszczyźnie poziomej i pionowej" oraz potomków bez ograniczeń, do „siódmego pokolenia" i dalej. Według oficjalnej statystyki w 1946 roku liczba „wypędzonych" wynosiła w Niemczech Zachodnich około 6 mln osób, w 1971 roku było ich już 12 mln, a obecnie jest około 20 mln, czyli 1/3 obywateli RFN. Tylko pewien okres czasu dzieli nas od nie spotykanego dotąd fenomenu — przekształcenia całego państwa w „państwo wypędzonych". Fenomen ten nie należy bynajmniej do historycznych kuriozów, lecz jest świadomym, głębo-

ko przemyślanym kursem politycznym kręgów niemieckiej reakcji, zmierzającym nie tylko do utrzymania, lecz do ustawicznego powiększania bazy społecznej odwetu, podsycania masowej rewanżystowskiej psychozy oraz stworzenia w kraju atmosfery, w której miliony ludzi otumanionych propagandą bezmyślnie ruszą na zew do nowego „Drang nach Osten".

„Związek wypędzonych" jako główna organizacja obejmuje łącznie 22 „ziomkostwa" i 11 „grup krajowych". Podlega mu 450 organizacji okręgowych i 9 tys. terenowych. Związki przesiedleńcze z niezliczonymi filiami przeniknęły do wszystkich porów organizmu państwowego RFN. „Przedstawicielstwo gospodarki wypędzonej ze stron ojczystych", zrzeszające kapitalistów zbiegłych z Europy Wschodniej, utrzymuje filie w dziesięciu krajach związkowych i w Bonn. „Związek włościan wypędzonych ze stron ojczystych" — stowarzyszenie byłych obszarników — ma jedenaście oddziałów terenowych. Rząd Bawarii zasila „ziomkostwo sudeckie", a Szlezwiku-Holsztynu — „ziomkostwo pomorskie".

Patronat nad odwetowymi ziomkostwami i ich filiami sprawuje około 400 miast i okręgów RFN. W Republice Federalnej powstała i rozszerza się sieć tak zwanych „domów stron ojczystych" i „domów niemieckiego Wschodu". Każdego roku na potrzeby rewanżystów przeznacza się z budżetu państwowego do 60 mln marek; miliony płyną z safesów koncernów lub w postaci dotacji władz terenowych. Liderzy „związku wypędzonych" są szeroko reprezentowani w najwyższych sferach politycznych; w samym tylko bundestagu posiadają 41 mandatów, co zapewnia ścisłe powiązanie z kręgami kształtującymi politykę zagraniczną Republiki Federalnej Niemiec.

Do prezydium „związku wypędzonych" wybrano Güntera Reicherta, który przez długi czas był osobistym referentem przewodniczącego frakcji

CDU/CSU w bundestagu Alfreda Dreggera. Reichert kieruje obecnie wydziałem prasowym tej frakcji. Przedstawiciel „ziomkostwa Niemców sudeckich" F. Neubauer zajmuje obecnie stanowisko sekretarza stanu ministerstwa do spraw pracy i problemów społecznych. Jest to nowy przykład bezpośrednich powiązań rewanżystowskich organizacji z aparatem państwowym.

Organizacje „wypędzonych" jawnie proklamują odwetowe cele, ujmując je w statutach oficjalnie zarejestrowanych w organach państwowych. „Ziomkostwo Niemców sudeckich" domaga się „zwrotu ziem ojczystych", czyli aneksji terenów należących do Czechosłowacji. „Ziomkostwo pomorskie", jak wynika ze statutu tej organizacji, dąży do „zjednoczenia Niemiec, łącznie z niemieckimi obszarami wschodnimi", czyli północnymi rejonami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i obszarami należącymi do ZSRR. „Niemcy śląscy" uważają za swoje zadanie „moralne przygotowanie do powrotu na ziemie ojczyste" w południowych województwach PRL.

Ludzie ci nie rezygnują z wyimaginowanej i niebezpiecznej myśli odzyskania swoich byłych firm i posiadłości ziemskich, które stały się prawowitym mieniem ludowym Czechosłowacji, NRD, Polski i Związku Radzieckiego. Zachodnioniemiecki publicysta Hau pisze w swojej książce „Rewanżyzm — tak czy nie?", że Deutsche Bank dotychczas występuje z roszczeniami wobec zakładów hutniczych w Polsce Ludowej, a koncern Flicka ostrzy sobie zęby na przedsiębiorstwa w NRD. Heinkelowie — jedna z najbogatszych rodzin Europy — roszczą sobie prawa do dwóch kopalń węgla i udziałów w jedenastu polskich przedsiębiorstwach. Specjalna publikacja wydawnictwa „Hoppenstedt" pod tytułem „Niemieckie towarzystwa akcyjne z kapitałem wschodnim" ubiega się łącznie o 8 przedsiębiorstw w Czechosło-

wacji, 28 — w Związku Radzieckim i 172 — w Polsce.

Rewanżystowskie organizacje wywierają zmasowany wpływ na młodzież szkolną i na cały system wychowania dorastającego pokolenia. Założenia statutów „ziomkostw" w całej rozciągłości przeniosły się do głównych ustaleń prawnych określających zasady wychowania nowego pokolenia. W uchwale stałej konferencji ministrów wyznań religijnych krajów związkowych RFN, podjętej w 1956 roku, stwierdzono między innymi, że „cały system wychowania i nauczania Niemców" powinien opierać się na zasadzie, że „...tereny pozostające obecnie pod obcą administracją muszą być równie bliskie młodzieży, jak rejony Republiki Federalnej Niemiec".

W lutym 1981 roku stała konferencja zaaprobowała tak zwane „Zasady przedstawiania Niemiec w podręcznikach szkolnych i mapach przeznaczonych do nauczania w szkołach". Łamiąc brutalnie porozumienia mocarstw sojuszniczych, założenia i zasady trybunału norymberskiego, a także układy podpisane przez bońskich polityków i zakładające nienaruszalność obecnych granic europejskich, uchwała zaleca wpajanie uczącej się młodzieży myśli, że „Rzesza Niemiecka nadal istnieje w granicach 1937 roku". Na wszystkich mapach szkolnych powinny być oznaczone granice „III Rzeszy". Berlin Zachodni należy uważać za część składową RFN, a polskie i radzieckie miasta powinny nosić ich byłe niemieckie nazwy.

Prowodyrzy odwetowych ziomkostw dobierają i urabiają kadrę nauczycielską. Dla wykładowców organizowane są seminaria i kursy, są oni zaopatrywani w produkcję wydawniczą ziomkostw, między innymi otrzymują pismo „Deutsche Ostkunde", które zaleca takie tematy szkoleniowe, jak „rozbiór Niemiec w 1945 roku". O charakterze pomocy metodologicznych można sądzić choćby na podstawie takiego oto zadania: „Wymienić części Rzeszy Nie-

mieckiej, z których wypędzono Niemców, czyli przesiedlono na mocy uchwał konferencji poczdamskiej". W szkołach organizowane są konkursy na podstawie zestawów pytań opracowanych przez „związek wypędzonych". Imprezy te mają na celu wyjaśnienie, w jakim stopniu dzieci opanowały geografię i historię byłych „niemieckich terenów wschodnich". Nagrodą w tych konkursach są wycieczki do rejonów granicznych.

Jest więc w pełni prawidłowe, że coraz więcej młodzieży szkolnej pada ofiarą rewanżystowskiej propagandy. Ankieta rozpisana we Frankfurcie nad Menem ujawniła, że co czwarty uczeń popiera prawicowoekstremistyczne hasła, 10 proc. opowiedziało się za „rehabilitacją Hitlera i jego wiernych żołnierzy", 15 proc. oświadczyło, że taki człowiek jak Hitler lepiej by sobie dał radę ze współczesnymi problemami niż dzisiejsi politycy. Wielu ankietowanych wypowiadało się niezmiennie za władzą „silnej jednostki".

Rewanżystowska presja na młodzież Niemiec Zachodnich trwa nadal. Minister do spraw stosunków wewnątrzniemieckich H. Windelen, w swoim czasie znany działacz rewanżystowskich organizacji przesiedleńczych, wyraźnie określa zadanie strategiczne: „Uważam za zadanie szczególnie doniosłe wyjaśnienie naszej młodzieży, czym są Niemcy. Dopiero wówczas, kiedy zdobędziemy przyszłe pokolenie, potrafimy zjednoczyć Niemcy i przynieść im wolność".

Wiele zła nagromadziło się w puszce bońskiej Pandory. Rozpełzając się po kraju, zło to rodzi przemoc, zaraża atmosferę rewanżystowską ideologią, podsyca wrogie nastroje wobec sąsiadów, pobudzając „wiecznie wczorajszych" bojówkarzy i nowych awanturników do niebezpiecznych akcji.

NIEBEZPIECZNA POGOŃ ZA ZŁUDNYMI MRZONKAMI



Wydobyliśmy zaledwie kilka fiszek z reważystowskiej kartoteki, żeby uzmysłowić sobie schemat organizacji i współdziałania prawicowoekstremistycznych, odwetowych sił w Republice Federalnej Niemiec, uchylić kurtyny i zobaczyć, co się dzieje na głównej awanscenie rewanżystowskiej budy, zrozumieć prawidłowości, nie zaś przypadkowe wybryki nowej aktywizacji rewanżyzmu w Niemczech Zachodnich. Podstawy tego procesu nie ulegały zmianom w ciągu całego okresu powojennego, bez względu na to, jakie gabinety znajdowały się u steru władzy w Bonn. W latach rządów koalicji socjaldemokratyczno-liberalnej rewanżystowskie tendencje zostały nieco przytłumione. Nie miały tak szerokiego poparcia propagandowego, jak za poprzednich rządów CDU/CSU; oficjalni politycy unikali koniecznej obecności na wielkich rewanżystowskich imprezach. Niemniej jednak organizacyjne i ideologiczne podstawy rewanżyzmu w zasadzie pozostały nietknięte.

Natomiast z dojściem do władzy w końcu 1982 roku prawicowokonserwatywnego rządu Kohla-Genschera znacznie wzrosły wpływy w życiu społeczno-politycznym kraju ultrareakcyjnych sił odwetowych i umocniła się ich baza. W sprawozdaniu rządu za rok 1983 podkreślano, że „zwiększono pomoc dla

ziomkostw i zjednoczeń wypędzonych oraz uchodźców... przede wszystkim poprzez finansowanie projektów i imprez, które wraz z utrzymaniem i rozwojem dorobku kulturalnego wypędzonych informują ich jednocześnie w kwestiach dotyczących polityki niemieckiej..." „Wraz ze zmianą rządu w Bonn — oświadczył W. Hewelt, niedawno odznaczony „Krzyżem za Zasługi", zastępca przewodniczącego „Związku Gdańszczan" („Bund der Danziger") — powstała nowa sytuacja znacznie korzystniejsza dla organizacji wypędzonych". Gdy tylko Helmut Kohl stanął na czele rządu, we wszystkim, co dotyczy niemieckiej polityki, dała się odczuć stęchlizna zimnowojennej atmosfery. Ponownie weszło do użycia pojęcie „zjednoczonych Niemiec". „Znacznie korzystniejsza sytuacja" powstała nie tylko dla wypędzonych. Chwycili również wiatr w żagle członkowie HIAG — zjednoczenia byłych rzezimieszków z SS; rozzuchwalili się jeszcze bardziej „amatorzy strzelectwa"; „narodowi demokraci" i „narodowi socjaliści" przygotowują się do walki o mandaty w bundestagu; z ożywieniem zaszeleściły wszystkie fiszki w rewanżystowskiej kartotece.

Nigdy jeszcze od chwili uznania przez Republikę Federalną aktualnych granic europejskich w zlotach odwetowych organizacji nie brało udziału tak wielu czołowych działaczy rządu RFN i partii rządzących, jak w 1984 roku. 2 września tegoż roku po raz pierwszy od 18 lat do odwetowców na wiecu „związku wypędzonych" w Brunszwiku przemawiał kanclerz federalny. Przedstawiciel socjaldemokratycznej opozycji uznał to za skandal. Natomiast H. Kohl swoje przemówienie do „wypędzonych" uważa za „coś, co rozumie się samo przez się". Kanclerz nie szczędził słów, sławił pod niebiosa ich „zasługi", wierność „wolnej demokracji" oraz sprawie „pokoju wewnętrznego i światowego". Uwieńczeniem tej mowy

były słowa: „Nie mogę wskazać na siły polityczne w Republice Federalnej Niemiec, które w jakiejkolwiek bądź formie reprezentowałyby poglądy rewanżystowskie".

Przy odrobinie chęci kanclerz mógłby otrzymać odnośne informacje choćby od swojego ministra Stoltenberga, który nie tylko w dwa miesiące później był obecny na federalnym spotkaniu „ziomkostwa Niemców pomorskich", ale również wygłosił tam przemówienie. Podczas spotkania przy dźwiękach marsza „Chwała Prus" odbył się przemarsz ze „sztandarami wszystkich ziem niemieckich i sztandarem europejskim". Uczestnicy tego zlotu wyrazili dążenie do utworzenia nowej wielkoniemieckiej Rzeszy w „wyzwolonej Europie". Dosłownie w tym samym czasie w Essen odbył się zlot „ziomkostwa Niemców górnośląskich", na którym H. Czaja, deputowany do bundestagu z ramienia CDU — partii kanclerza Kohla, oświadczył bez ogródek: „Nie rezygnujemy z prawa do stron ojczystych, prawa Niemców do samostanowienia, albowiem Niemcy istnieją nadal jako państwo jednolite! Młode pokolenie rozwinie wschodnioniemieckie dzieje w imię naszej wolnej Europy". A nieco wcześniej na majowym zlocie „ziomkostwa Niemców z Prus Wschodnich" minister H. Windelen nie tylko gorąco oklaskiwał rewanżystowskie wystąpienia, ale również sam dolał oliwy do ognia: „Od kiedy Europa kończy się na Łabie i Werze? Do Europy należą także Drezno, Wrocław, Gdańsk, Toruń, Praga, Warszawa i Budapeszt".

Miasta te należą do Europy, ale nie do tej, o której tak pożądliwie marzą odwetowcy znad Renu. Układ Moskiewski 1970 roku zobowiązuje ZSRR i RFN do „ścisłego przestrzegania integralności terytorialnej wszystkich państw Europy w ich obecnych granicach". Oświadczono tam również, że obie strony „nie mają żadnych roszczeń terytorialnych do kogokol-

wiek i nie będą wysuwać takich roszczeń w przyszłości". Te właśnie założenia układu pragną wyjałowić kręgi odwetowe oraz ich przedstawiciele we władzach RFN. Oświadczają one, że nie bacząc na układy wschodnie „kwestia niemiecka jest nadal kwestią otwartą", a granice europejskie nie mają ostatecznego charakteru. Kręgi te domagają się przywrócenia Niemiec w granicach z 31 grudnia 1937 roku.

Na zjeździe CDU w Stuttgarcie w maju 1984 roku H. Kohl oświadczył z oficjalnej trybuny: „Naród niemiecki żyje w świadomości Niemców. Nie pogodzimy się z rozłamem kraju, historia nie wypowiedziała ostatniego słowa i nie stworzyła ostatecznej sytuacji". Na wiosnę tegoż roku w Berlinie Zachodnim odbyła się konferencja zwołana przez bońskie ministerstwo do spraw stosunków wewnątrzniemieckich. Pod auspicjami rządu federalnego w mieście, nie wchodzącym w skład państwa bońskiego, zgodny chór ludzi piastujących urzędy polityczne i osób nie wyróżnionych tym zaszczytem zawodził rewanżystowskie pienia. „Zadaniem najważniejszym naszych dzieci i wnuków — stwierdził przedstawiciel „ziomkostwa Niemców pomorskich" P. von Bismarck — jest nie powrót do stron ojczystych, lecz europejski marsz naprzód w kierunku wolnych Prus Wschodnich, wolnego Śląska i Pomorza, wspólnie z wolną Polską w wolnej Europie". Wtórował mu poseł do bundestagu, zdeklarowany odwetowiec H. Hupka: „Nie można się zgodzić, że Wschodnie Niemcy po tamtej stronie Odry i Nysy nie są już uważane za część Niemiec".

Świadomi poparcia oficjalnych władz bońskich rewanżyści różnych maści zgłaszają coraz bezczelniejsze, daleko posunięte żądania. „Stowarzyszenie robotnicze okręgu Memel" wyraziło niezadowolenie z powodu tego, że przygotowana do druku oficjalna mapa „Niemiec w granicach 1937 roku" „nie obej-

muje rejonu Memla" (miasto Kłajpeda w ZSRR), który włączono w skład Rzeszy Niemieckiej w marcu 1939 roku. „Der Schlesier" — organ „ziomkostwa Niemców śląskich" — zamieścił w maju artykuł pod tytułem „Niemcy w granicach 1937 roku", w którym między innymi stwierdzono: „Bezprawne osiedlanie w Niemczech Wschodnich osób, przybyłych tam z zewnątrz, nie jest posunięciem ostatecznym, od którego nie ma apelacji. Repatriacja osób osiedlonych tam po roku 1945 nie stanowiłaby aktu „powtórnego wypędzenia". W odezwie z okazji „dnia niemieckiej jedności" przewodniczący „związku wypędzonych" H. Czaja pisał: „Żaden organ państwowy nie może, ignorując założenia ustawy zasadniczej i ich urzędową interpretację w Federalnym Sądzie Konstytucyjnym, rezygnować z pozycji prawnych narodu niemieckiego lub spisywać na straty kolejno poszczególne części Niemiec".

Wywody na temat konstytucji i prawa, jak tkanina na stroju nagiego króla, nie przesłaniają ostatecznego celu „wiecznie wczorajszych" — zmiany europejskich granic i odrodzenia na mapie Europy konturów hitlerowskiej III Rzeszy. Reakcyjna część monopolistycznej burżuazji RFN nie zrezygnowała z zamiaru powrotu w określonych okolicznościach historycznych na tereny utracone w wyniku hitlerowskiej agresji. Cele te z nie ukrywanym entuzjazmem popiera prawicowokonserwatywny blok CDU/CSU, znajdując oparcie w rewizjonistycznych siłach zgrupowanych w różnorodnych organizacjach. Kręgi rewanżystowskie przyjęły dojście do władzy w 1982 roku CDU/CSU jako sygnał do aktywizacji swojej działalności, do ofensywy przeciwko polityce odprężenia i układom z krajami socjalistycznymi Europy, jako sygnał do popierania polityki konfrontacji i wyścigu zbrojeń.

W tych warunkach, zdając sobie sprawę, jak dalece

niepopularne są wystąpienia zachodnioniemieckich rewanżystów wśród ludności krajów, które szeroko obchodziły 40 rocznicę klęski faszyzmu i w sposób szczególnie ostry reagują na nawroty niedawnej tragicznej przeszłości, a także na jawnie agresywne zakusy ludzi, którzy już przynieśli światu mnóstwo cierpień, władze bońskie usiłują przedstawić odwetowców jako „niemieckich patriotów", a ziomkostwa — jako „ruch obrony pokoju". Minister spraw wewnętrznych RFN F. Zimmermann przemawiając na zlocie „ziomkostwa Niemców sudeckich" w Monachium powiedział: „Przyjaciele z grona Niemców sudeckich, jesteście uczestnikami pierwszego prawdziwego ruchu obrony pokoju w naszym kraju!" Minister w rządzie Bawarii F. Neubauer posunął się do stwierdzenia, że „ziomkostwa już od roku 1950 były najbardziej masowym w RFN ruchem obrony pokoju". Porównajmy wypowiedzi oficjalnych władz na temat „ziomkostw" z tym, co widnieje w ich statutach, a także z hasłami i żądaniami wypowiadanymi gromko na odwetowych zlotach; załączmy do tego przytoczone powyżej cytaty oraz stosy gazet, pism i ulotek wydawanych przez „związek wypędzonych", a przekonamy się raz jeszcze, jak dalece popularna jest polityczna obłuda wśród czołowych polityków Niemiec Zachodnich — obłuda niedorzeczna, zwłaszcza wówczas, kiedy rewizjonizm występuje z coraz większą zażartością.

Oficjalne władze RFN ustawicznie kwestionują aktualne granice europejskie. Nader znamienny jest w tym względzie stosunek Bonn do Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W myśl ogólnie przyjętych norm prawa międzynarodowego uznanie faktycznego istnienia państwa jest równoznaczne z uznaniem jego granic, integralności terytorialnej, suwerenności i obywatelstwa. Zgodnie z prawem międzynarodowym każde państwo samo-

dzielnie reguluje problemy obywatelstwa — nadania go lub utracenia. Żaden kraj nie ma prawa dysponowania obywatelstwem innego państwa. Poszanowanie obywatelstwa innych krajów jest zasadą, która rozumie się sama przez się i stanowi niezbywalny element normalnego funkcjonowania systemu stosunków międzynarodowych.

Dotyczy to wszystkich państw, w tym również NRD i RFN — krajów członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych i sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach.

Jednakże władze RFN, zmierzając kursem nie dającym się pogodzić z prawem międzynarodowym, uciekają się do wręcz absurdalnych posunięć, takich jak karty powołania do bundeswery i zaproszenia do udziału w wyborach do bundestagu, które otrzymują obywatele NRD, znajdujący się w delegacjach służbowych na terenie Republiki Federalnej, a także odmowa ekstradycji obywateli NRD, którzy dokonali poważnych przestępstw kryminalnych na jej terytorium i zbiegli do RFN. Najnowszym incydentem tego rodzaju, oburzającym każdego uczciwego człowieka, było zwolnienie z więzienia w RFN niebezpiecznego złoczyńcy nazwiskiem Weissgerber. Tak zwany „ośrodek rejestracji" w Salzgitter już od z górą 20 lat uporczywie uzurpuje sobie prawo prowadzenia śledztwa w sprawach obywateli NRD, którzy weszli w kolizję z ustawodawstwem swojego kraju. „Ośrodek" ten, działając z pogwałceniem norm prawa międzynarodowego, usiłuje objąć jurysdykcją sądów RFN terytorium i obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Obecny rząd boński coraz głośniej wypowiada się na temat rzekomego istnienia „Rzeszy Niemieckiej w granicach 1937 roku". Strona zachodnioniemiecka głosi doktrynę o identyczności RFN i „Rzeszy Niemieckiej". W RFN wobec obywateli NRD stosuje się

te same wymogi, co i wobec własnych obywateli. Ustawodawstwo, sądownictwo i praktyka administracyjna są tam stosowane do ustawicznej presji wobec NRD. Republika Federalna wywiera również naciski na kraje trzecie celem zmuszenia ich do podtrzymania swojego zmyślonego i sprzecznego z prawem międzynarodowym punktu widzenia w kwestiach obywatelstwa.

Niektórzy działacze polityczni RFN mówią nawet, że ich „obowiązkiem jest obrona obywateli NRD". Powinni by raczej zatroszczyć się o własnych obywateli i wspomnieć swoje rzeczywiste obowiązki obrony ich interesów. Musieliby wówczas dołożyć niemałych starań, żeby ustrzec obywateli RFN przed bezrobociem, łamaniem praw społecznych, przed wzrostem przestępczości i narkomanią, nie mówiąc już o niebezpieczeństwach zagrażających życiu obywateli RFN w wyniku rozmieszczenia amerykańskich rakiet jądrowych pierwszego uderzenia i magazynowania na terytorium Niemiec Zachodnich amerykańskiej broni chemicznej.

Przejawami tychże rewanżystowskich dążeń są również dywersje polityczne Bonn wobec innych państw socjalistycznych, zwłaszcza wymierzone przeciwko Polsce Ludowej. Przedstawiciele CDU/CSU zgłosili do porządku obrad Parlamentu Europejskiego problem „sytuacji mniejszości niemieckiej na terytorium PRL". Tę prowokacyjną akcję wykorzystano do oszczerczych zarzutów pod adresem Polski o domniemanym „łamaniu praw człowieka", a także do pogróżek podjęcia wobec PRL nowych sankcji politycznych i gospodarczych. Zachodnioniemieccy odwetowcy, zachęcani niedwuznacznymi gestami aprobaty liderów partii rządzących CDU/CSU, zaktywizowali swoje ataki przeciwko Polsce i innym krajom socjalistycznym.

Dowodem aktywizacji wywrotowej roboty rewan-

żystów w RFN jest również prowokacyjne wystąpienie lidera „ziomkostwa Niemców pomorskich", aktywisty CDU Hansa-Edgara Jahna. Oświadczył on arogancko na łamach prasy, iż rzekomo nie Niemcy występują z roszczeniami do polskich ziem, lecz na odwrót, Polacy roszczą sobie prawa do ziem niemieckich.

Te, a także inne fakty, jak wszystko na to wskazuje, niepokoją realnie myślących polityków w RFN, z których wielu zdaje sobie sprawę ze szkody, jaką niewybredna kampania rewanżystów wyrządza międzynarodowemu autorytetowi Bonn oraz stosunkom między Wschodem i Zachodem. Nawet niektórzy działacze koalicji rządzącej usiłują się odciąć od ataków rewizjonistów przeciwko układom, które RFN zawarła z krajami Europy Wschodniej, twierdząc, że w Republice Federalnej „jest respektowane uzasadnione dążenie Polaków do stabilnych granic".

Nie bacząc jednak na podobne zapewnienia oficjalne Bonn nadal popiera „wiecznie wczorajszych", co budzi uzasadnione obawy światowej opinii publicznej. Przyczyną niepokojów jest także kampania rewanżystowskich liderów, wymierzona przeciwko demaskowaniu hitlerowskiego faszyzmu i jego zbrodni wobec narodów Europy, a także odwetowe postulaty objęcia oficjalnym zakazem sformułowania określającego Niemcy jako źródło dwóch wojen światowych. Główny kierunek rewanżystowskiej propagandy sprowadza się, pod pretekstem „przywrócenia sprawiedliwości", do roszczeń terytorialnych wobec ZSRR, NRD, Polski i Czechosłowacji, do oświadczeń, że „kwestia niemiecka jest kwestią otwartą", a europejskie granice nie mają jeszcze ostatecznego charakteru, do żądań „odrodzenia Niemiec w granicach z 31 grudnia 1937 roku". Wypaczając historię, odwetowcy na wszelkie sposoby usprawiedliwiają zbrodnie faszyzmu, głoszą wymysły o domniemanych

„zbrodniach wobec Niemców" i rozpowszechniają mit o „radzieckim zagrożeniu wojskowym", które rzekomo powstało wraz z pojawieniem się socjalistycznej Rosji.

Tych kampanii kłamstw i oszczerstw już się nie udaje maskować chwytami z arsenału dyplomacji. Wojskowe biuro historyczne bundeswery wydało „pracę naukową" o objętości 1200 stron pod tytułem „Ofensywa przeciwko Związkowi Radzieckiemu". Powtórzono w niej znane wymysły Goebbelsa o „uprzedzającym", „prewencyjnym" charakterze napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki. W zamiarze rehabilitowania zbrodni nazizmu autorzy przedstawiają hitlerowską agresję jako środek wymuszony, wręcz niezbędny dla „zapobieżenia" radzieckiej napaści na III Rzeszę. „Praca" zawiera twierdzenia, że wcześniej czy później Związek Radziecki „zadałby Niemcom cios w plecy" i kierownictwo radzieckie zamierzało podjąć tę akcję nie później niż w 1942 roku. Zmyślane są bajeczki o domniemanym okrucieństwie Rosjan przy jednoczesnym przemilczaniu potwornych zbrodni nazizmu, potępionych przez trybunał norymberski.

Ale to jeszcze nie wszystko. Gazeta „Der Schlesier", oficjalny organ „ziomkostwa Niemców śląskich", zamieściła scenariusz „wyprawy na Wschód" — tym razem już z udziałem bundeswery — celem „rozstrzygnięcia" sławetnej „kwestii niemieckiej" siłą oręża, przy czym najbardziej nowoczesnego. Wspomniana publikacja rozpoczęła przygotowania do zlotu „ziomkostwa Niemców śląskich", który to ekstremistyczne zgrupowanie rewanżystów pod przewodem H. Hupki, deputowanego do bundestagu z ramienia rządzącej bońskiej CDU, postanowiło zwołać latem 1985 roku w Hanowerze pod wichrzycielskim hasłem: „40 lat na wygnaniu — Śląsk jest nadal naszą przyszłością w Europie wolnych narodów".

Arogancki atak rewanżystowskiego szmatławca stał się na początku 1985 roku przyczyną głośnego skandalu politycznego w stolicy nad Renem, ponieważ w planowanym sabacie propagandowym w Hanowerze zamierzali wziąć udział członkowie rządu RFN, a kanclerz H. Kohl wyraził zgodę na zabranie tam głosu w charakterze głównego mówcy.

Wichrzycielskie „rewelacje" gazetki „ziomkostwa" tak dalece oburzyły rozsądnie myślących ludzi w RFN, że szef rządu federalnego H. Kohl pośpiesznie odciął się od prowokacyjnej publikacji odwetowców stwierdzając, że jest nieodpowiedzialna, szkodliwa i niemądra.

Jednakże oficjalne Bonn niezwłocznie wzięło w obronę sławetne „ziomkostwo". Tenże H. Kohl oświadczył podczas spotkania CDU w Saarze: „Nieakceptowanie podziału niemieckiej ojczyzny nie ma nic wspólnego z rewanżyzmem". Ale przecież tę właśnie koncepcję wyraża „Der Schlesier", proponując zbrojną agresję jako jedną z form osiągnięcia sławetnej „niemieckiej jedności".

Przewodniczący SPD W. Brandt w wywiadzie dla agencji DPA wskazał, że dwuznaczne zachowanie się kanclerza H. Kohla w związku ze zlotem „ziomkostwa Niemców śląskich" przynosi uszczerbek prestiżowi RFN. „Utopijne poglądy w kwestiach granic — podkreślił W. Brandt — nie tylko utrudniają normalizację kontaktów RFN z Polską i innymi sąsiadami wschodnimi, ale również niekorzystnie rzutują na jej stosunki z zachodnimi partnerami".

Te, a także inne liczne fakty dowodzą, że władze bońskie podsycają rewanżyzm na wszystkich płaszczyznach, nie ograniczając się do ram wewnętrznych. Koła rządzące Republiki Federalnej Niemiec, nie licząc na własne siły w „dniu X", w zamiarze umocnienia politycznego zaplecza zaczęły się domagać od partnerów z NATO, przede wszystkim od

Stanów Zjednoczonych Ameryki, bezpośredniego poparcia dla swojej polityki zmierzającej do rewizji wyników drugiej wojny światowej. Bonn uważa za możliwe rozstrzygnięcie „otwartej kwestii niemieckiej" w ramach „rozwiązania ogólnoeuropejskiego", mając na względzie podważenie pozycji socjalizmu i „ewolucję reżymów komunistycznych" w Europie Wschodniej. Przemawiając w lutym 1984 roku na „seminarium niemiecko-amerykańskim", którego organizatorką była „fundacja Konrada Adenauera" w Waszyngtonie, minister H. Windelen pouczał słuchaczy: „Z dzisiejszego punktu widzenia zjednoczenie Niemców może być dokonane tylko w taki sposób, w jaki można przezwyciężyć rozłam całej Europy".

Sekretarz stanu w bońskim MSZ A. Martes w przemówieniu na zlocie „wypędzonych" w maju tegoż roku rozwiał wszelkie wątpliwości w tej materii: „Powinniśmy wyjaśniać naszym zachodnim sojusznikom znaczenie narodowego zadania Niemców, żeby się przekonali, iż ich własne interesy ściśle się łączą z kardynalnym rozstrzygnięciem kwestii niemieckiej. Zdajemy sobie przy tym sprawę, że niemieckie interesy i niemieckie roszczenia prawne nie doczekają się realizacji bez solidarnej postawy całego przymierza".

W chęci reakcyjnych kręgów Niemiec Zachodnich wykorzystania pomocy USA do wcielenia w życie swoich rewanżystowskich zamiarów nietrudno jest dostrzec jedną z głównych przyczyn szczególnego posłuszeństwa Bonn wobec wszelkich rozkazów zza oceanu. Przecież to właśnie Niemcy Zachodnie pokornie stanęły na baczność, kiedy z Waszyngtonu padła komenda o rozmieszczeniu na ich terytorium wszystkich 108 rakiet „Pershing-2" i lwiej części pocisków manewrujących. Co więcej, Bonn z radością podjęło się funkcji żandarma, energicznie urabiając inne kraje europejskie, między innymi Belgię i Holandię, które wykazały „krnąbrność", a ściślej —

właściwe pojmowanie interesów narodowych, i od samego początku stawiły poważny opór amerykańskim planom dyslokacji w Europie Zachodniej nowej broni rakietowo-nuklearnej pierwszego uderzenia.

RFN ustawicznie wyświadcza Stanom Zjednoczonym Ameryki ważne usługi wojskowo-polityczne. W związku z amerykańską barbarzyńską akcją na Bliskim Wschodzie i w rejonie Zatoki Perskiej w Bonn ubolewano, że Konstytucja RFN nie zezwala na udzielenie poparcia USA. Ale jednak, jak nie bez dumy pisała „Frankfurter Allgemeine", „przy każdej nadarzającej się okazji udzielamy biernej pomocy, ponieważ Republika Federalna Niemiec stanowi punkt tranzytowy sił szybkiego reagowania". Obłudnie utyskując na rzekomo „wąskie ramy NATO", dziennik dodaje: „Nie powinno to usprawiedliwiać pozostawiania Amerykanów sam na sam z rozmaitymi problemami na świecie nie tylko w aspekcie materialnym, ale również moralnym".

Państwo bońskie jest nie tylko największym obszarem operacyjnym amerykańskich kręgów militarnych, ale również faktyczną bazą przerzutową amerykańskiego korpusu interwencyjnego — „sił szybkiego reagowania", utworzonych dla tłumienia walki narodowowyzwoleńczej ludów. Na mocy zawartych porozumień Stanom Zjednoczonym przysługuje prawo dwukrotnego zwiększenia w „sytuacjach kryzysowych" liczebności swoich wojsk na terytorium RFN, z wykorzystaniem odnośnej zachodnioniemieckiej infrastruktury i rezerwistów specjalnie powołanych w tym celu pod broń. Bonn zgodziło się na wyasygnowanie prawie półtora miliarda marek na pokrycie kosztów przesunięcia trzech amerykańskich brygad z głębi RFN ku granicom państw socjalistycznych. USA bez szczególnego trudu narzuciły również inne porozumienie, w myśl którego RFN przeznaczy oko-

ło 7 mld marek na doskonalenie infrastruktury NATO w latach 1985—1990.

Samo terytorium państwa bońskiego zostało już dawno przekształcone w amerykański arsenał środków masowej zagłady, nadal uzupełniany coraz to nowymi rodzajami barbarzyńskiej broni. Każda akcja polityczna lub doktryna wojenna Białego Domu, zmierzająca do podważenia procesu odprężenia w Europie, osłabienia zrębów europejskiej współpracy, do przekształcenia tego kontynentu w teatr działań wojennych z użyciem broni jądrowej, zyskuje poparcie Bonn, choć jest to sprzeczne z żywotnymi interesami ludności Republiki Federalnej Niemiec i wyrządza szkodę sprawie pokoju nie tylko w tym regionie naszego globu.

Jest to lekceważenie interesów narodowych w imię zapewnienia sobie poparcia dla rewizji granic europejskich, realizacji celów kolidujących z interesami przeważającej większości mieszkańców państwa bońskiego. Błędne koło, labirynt bez wyjścia, brak chęci liczenia się z realiami politycznymi określającymi sytuację międzynarodową w perspektywie dziesięcioleci, występne zapominanie nauk historii i śmiertelnie ryzykowna pogoń za złudnymi mrzonkami.

STAWIANIE NA BUNDESWERĘ



Nie ulega najmniejszej wątpliwości ścisła więź między rozmieszczeniem na terytorium RFN nowej broni rakietowo-nuklearnej, dalszą militaryzacją kraju i ożywieniem neonazistowskich, odwetowych nastrojów nad brzegami Renu. Reakcyjne kręgi Niemiec Zachodnich, opowiadając się za zwiększeniem potencjału rakietowo-nuklearnego pierwszego uderzenia wycelowanego przede wszystkim w Związek Radziecki, a także w inne kraje, liczą na wykorzystanie go w taki lub inny sposób dla zaspokojenia swoich ekspansjonistycznych ambicji. Rewanżyzm uzyskuje bazę nie tylko polityczną, lecz także militarną. Trwają prace nad planami wykorzystania na określonym etapie w przyszłości amerykańskich środków nuklearnych rozmieszczonych w RFN do podbudowy bońskich roszczeń wobec obcych ziem. W stolicy Niemiec Zachodnich nie wyklucza się również wariantu nuklearnego szantażu dla zmuszenia państw socjalistycznych do ustępstw w zasadniczych kwestiach społecznej i terytorialnej „przebudowy" obecnej Europy. W Bonn nie neguje się również, jak widzimy, możliwości doczekania się „sprzyjającej chwili" i dokonania zmian w mapie politycznej Europy na gruncie połączonego potencjału Zachodu. Zarówno jedno, jak i drugie poważnie zagraża Europie oraz sprawie powszechnego

pokoju mnóstwem nie dających się przewidzieć komplikacji.

Porozumienia poczdamskie przewidują całkowite rozbrojenie Niemiec i wprowadzają zakaz posiadania broni. Główni potentaci przemysłu zbrojeniowego, w tym również Krupp — największy spośród nich, otrzymali wyroki. Po wyjściu 3 lutego 1951 roku z zamku Landsberg, gdzie odbywał karę, Krupp znalazł się w tłumie reporterów, którzy, jakby po uprzednim uzgodnieniu między sobą, zadali mu jedno tylko pytanie: „Czy nie zamierza pan ponownie produkować armat?" „Nie mam w tej mierze ani chęci, ani też takich intencji". Po przeciśnięciu się przez zebranych korespondentów były król armat wszedł do najbliższego baru, wychylił kielich szampana i odjechał do swojej posiadłości.

W 1958 roku Krupp ponownie przystąpił do produkcji broni. Minęło wówczas zaledwie 13 lat od zakończenia drugiej wojny światowej, 9 lat od ferowania wyroku na Kruppa i 7 lat od chwili, kiedy przed tym zbrodniarzem wojennym otworzyły się bramy zamku Landsberg — więzienia, w którym trzymano go tak krótko. Czy można to nazwać karą? Pozostały jeszcze przecież wówczas straszliwe ślady zniszczeń w Mińsku, Stalingradzie, Rotterdamie, Coventry; ludzie płakali nad zgliszczami Lidic i Oradour; w pamięci zachowały się sceny krwawych zbrodni popełnionych we Lwowie, Warszawie, Kragujevacu, w Buchenwaldzie i Oświęcimiu. Wydawało się, że jeszcze wczoraj na drogach wytyczonych szeregami szubienic jechały z łoskotem armaty Kruppa w kolumnach hitlerowskiego wermachtu i ich grzmot górował nad kanonadą wszystkich nazistowskich dział.

Byłe „imperium armat" — to fraszka! Koncern Kruppa produkuje dziś rakiety i różne rodzaje wyposażenia dla bundeswery, czołgi, paliwo rakietowe,

specjalne marki stali i mnóstwo wyrobów kompletujących dla przemysłu lotniczego.

Przygotowując bazę operacyjną do agresji przeciwko krajom socjalistycznym, Zachód, a przede wszystkim Stany Zjednoczone Ameryki, zlikwidował bariery, które sojusznicy z koalicji antyhitlerowskiej w myśl wzajemnych porozumień postanowili wznieść na drodze niemieckiego militaryzmu. W tym aspekcie powojenna historia Kruppa jest zarówno wymownym przykładem, jak i jednym tylko epizodem spośród wielu. Przykładem wymownym — ponieważ jeden z głównych sprawców drugiej wojny światowej nie tylko w gruncie rzeczy uniknął kary, lecz ponownie, po odrodzeniu gospodarczej potęgi koncernu, przystąpił do wręcz antyhumanitarnego procederu. Natomiast za epizod, jakich wiele, można go uważać choćby dlatego, że identyczną drogę w dziejach Niemiec Zachodnich przebyli Flick, Thyssen, Oëtker, Quandt i inni miliarderzy, którzy zbili fortuny na handlu śmiercią.

Przede wszystkim wstrzymano demontaż zakładów przemysłu zbrojeniowego, należących do tych koncernów, następnie złożono do lamusa sojusznicze porozumienia o ukaraniu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Później zwrócono im przemysłową niwę, obficie zroszoną złotym deszczem „planu Marshalla" i milionowymi kredytami władz bońskich. Mocarstwa zachodnie wykazywały z każdym rokiem coraz większą gorliwość i „życzliwość" w tym względzie. Układ brukselski 1948 roku, a także układ londyński oraz paryski 1954 roku, usuwając kolejne ograniczenia, przywróciły Niemcom Zachodnim prawo do remilitaryzacji. W 1980 roku Republice Federalnej Niemiec zezwolono na budowę oceanicznych okrętów wojennych, dużych okrętów podwodnych do zwalczania jednostek tego rodzaju, lotniskowców, a także okrętów i statków z atomowymi zespołami

napędowymi. Cofnięto też ograniczenia w zakresie nie tylko tonażu, ale również strefy działania bundesmarine. Bonn pozbyło się więc ostatnich ograniczeń w produkcji broni. Mocarstwa zachodnie przekreśliły umowy poczdamskie mające nie dopuścić do odrodzenia niemieckiego militaryzmu.

W swoim czasie bundeswerę uzbrajały monopole zza oceanu. Bońska oligarchia finansowo-przemysłowa musiała się godzić z takim stanem rzeczy, poprzestając na tym, co jej podrzucili partnerzy z NATO. W 1962 roku pismo „Der Volkswirt" — tuba kręgów finansowo-przemysłowych — oświadczyło wszem wobec to, o czym półgłosem już od kilku lat mówiono w Ruhrze: „Powojenne hasło: «Nigdy więcej czołgów i armat!» już dawno utraciło swoje znaczenie. Zamówienia na broń są dziś nie tylko pożądane, ale również nader zaszczytne".

W dwa lata później koncerny zbrojeniowe Niemiec Zachodnich za pośrednictwem organizacji „Industrie-Handels-Verband" wystąpiły z żądaniem „wyposażenia bundeswery w sprzęt, broń strzelecką i środki transportowe własnej produkcji, a także przystąpienia w RFN do produkcji nowych rodzajów broni". W 1967 roku, kiedy Niemcy Zachodnie wkroczyły w kolejny etap przezbrajania bundeswery, wolę zachodnioniemieckich monopoli wyraził ówczesny minister obrony Schröeder: „Celem rządu federalnego jest lokowanie w przemyśle RFN tylu zamówień, ile przemysł będzie potrzebował. Jeśli zaś chodzi o obronę, to w przyszłości powinniśmy w znacznie większym stopniu polegać na własnych siłach".

Kto miał uszy, ten to usłyszał.

Te same monopolistyczne klany, które inspirowały i finansowały politykę agresji w latach rządów niemieckich kajzerów i Hitlera, ponownie ześrodkowały w swoich rękach przemysł zbrojeniowy Niemiec Zachodnich. Flick kontroluje produkcję czołgów w

„Krauss-Maffei AG" i materiałów wybuchowych w „Dynamit Nobel AG"; Thyssen kieruje działalności towarzystw „Thyssen-Industrie AG", „Bremer Vulcan", „Blohm & Voss" budujących okręty wojenne kadłuby czołgów; „Rheinmetall" stał się wielkim producentem broni strzeleckiej. Haniel wespół z Flickiem czerpią krociowe zyski z dostaw silników dla myśliwców bombardujących „Tornado", Dornier „zarabia" na samolotach szturmowych, Lürssen — na ścigaczach, Henle — na wojskowych ciężarówkach. 33 największe firmy przejęły ponad połowę przemysłu zbrojeniowego Republiki Federalnej Niemiec. Spośród 11 największych 7 ma siedzibę w zacisznych rejonach południowej Bawarii. Koncerny te specjalizują się w najnowszych rodzajach uzbrojenia. Celem umocnienia pozycji militarystycznego biznesu przemysłowcy, wojskowi i działacze polityczni utworzyli w czerwcu 1970 roku w Bonn tak zwane „Wehrindustrie-Arbeitskreis". W tym klubie o ograniczonym dostępie zasiadają dyrektorzy koncernów, generałowie i urzędnicy wyższego szczebla omawiając perspektywy produkcji i rozdzielając zamówienia wojska.

Gorliwość obecnych „królów armat", których imperium zatrudnia około miliona osób, sprawiła, że Niemcy Zachodnie mogą produkować o wiele więcej broni, niż wynoszą potrzeby bundeswery w tym zakresie. Strumienie produkcji przemysłu zbrojeniowego popłynęły z RFN w wielu kierunkach. I tu właśnie Bonn musiało zabrać się do „mydlenia oczu", starając się udowodnić światu, że liderzy Republiki Federalnej Niemiec „troszczą się nieustannie o osłabienie napięcia, starając się dokonać własnego wkładu w dzieło utrwalenia pokoju". „Ustawa o kontroli nad bronią" z 1961 roku, przepisy w zakresie handlu zagranicznego, „Polityczne zasady rządu federalnego w sprawie eksportu broni" z 1971 roku zakładały

środki państwowej regulacji eksportu broni. Każda transakcja powinna była uzyskać sankcję ministerstwa gospodarki przy uzgodnieniu z ministerstwem spraw zagranicznych i ministerstwem obrony. Dostarczanie broni do rejonów „zagrożenia pokoju" zostało objęte zakazem.

Nic jednak nie utrudniało obchodzenia tych zakazów. Firmy przemysłu zbrojeniowego dostarczają amunicję, karabiny i czołgi każdemu nabywcy za pośrednictwem swoich zagranicznych filii lub w kooperacji z firmami obcymi. Nawet w wykonaniu tego nietrudnego zadania władze przyszły z pomocą koncernom zbrojeniowym. W 1982 roku uchwalono nader zagmatwany zbiór poprawek do obowiązujących przepisów, w myśl którego rząd aprobując obroty bronią powinien się kierować „żywotnymi interesami natury międzynarodowej i interesami bezpieczeństwa Republiki Federalnej". Wycofano zakaz eksportu śmiercionośnego towaru do „stref napięcia". W wyniku tego działalność zachodnioniemieckich handlarzy śmierci objęła ponad 70 krajów wszystkich kontynentów. Krociowe zyski przynosi eksport kompletnych urządzeń do produkcji broni. Co najmniej 14 krajów ma zakłady przemysłu zbrojeniowego z takimi urządzeniami. RFN przekształca się w jednego z największych na świecie dostawców licencji na produkcję broni. Wyroby zachodnioniemieckich koncernów zbrojeniowych otrzymują reżymy dyktatury Południowej Ameryki. Wyposażenie wojskowe trafia do rąk rasistów RPA, dyktatury Pakistanu i krwawego reżymu Gwatemali.

W ostatnim dziesięcioleciu rozmiary eksportu broni z RFN zwiększyły się prawie dziesięciokrotnie. Tragedia w Skagerraku, gdzie w 1984 roku podczas zderzenia z okrętem podwodnym zbudowanym w stoczni kilońskiej ponieśli śmierć duńscy marynarze, skupiła uwagę na dostawach broni dla Chile, ponie-

waż ten okręt podwodny był przeznaczony dla junty wojskowej Pinocheta. Wszędzie na świecie — pisał tygodnik „Stern" — gdzie konflikty wstrząsają krajem, ludzie strzelają do siebie nawzajem, pożądliwie rozchwytywana jest broń z marką „Made in Germany".

A w Niemczech Zachodnich powstają coraz to nowe modele tej broni. „Istnieją podstawy do oczekiwań — pisze z dumą „Die Welt" — że w dziedzinie techniki wojskowej Republika Federalna odniesie w najbliższych latach niemal rewolucyjne sukcesy. Do roku 1986 grupa firm na zamówienie federalnego ministerstwa obrony zamierza wyprodukować broń laserową i wyposażyć ją w urządzenie do śledzenia celu, co umożliwi rażenie nawet z dużej odległości szybko poruszających się celów. Tym samym Republika Federalna będzie się mogła legitymować w tej specjalnej dziedzinie sukcesami, które osiągnęły dotychczas tylko Stany Zjednoczone".

Ale dopóki poziom USA nie został jeszcze osiągnięty w jakiejś dziedzinie, Niemcy Zachodnie przeznaczają miliony marek na zakup „brakującej" broni za oceanem. Zawarto już umowę, na której mocy RFN otrzyma z USA 28 zespołów rakietowych „Patriot". Połowę tej liczby zachodnioniemieckie ministerstwo obrony nabędzie bezpośrednio w amerykańskim koncernie „Raytheon Company", który je wytwarza. Resztę bundeswera otrzyma jakby w formie depozytu na okres 10 lat. W trybie kompensacji RFN zobowiązała się do obsługiwania 12 zespołów rakietowych „Patriot" w składzie wojsk amerykańskich na terytorium Niemiec Zachodnich.

Ponadto RFN nabywa i rozmieszcza 95 zespołów rakietowych „Roland", będących wynikiem koprodukcji krajów Paktu Północnoatlantyckiego.

Zachodnioniemieccy specjaliści do spraw budżetowych i wojskowych ustalili, że program zakupu broni i sprzętu dla bundeswery do roku 1997 pochłonie 240

mld marek, ale ponieważ koszty uzbrojenia od chwili podjęcia decyzji do rozpoczęcia dostaw wykazują tendencje zwyżkowe w granicach od 250 do 400 proc., wspomniany program zbrojeń będzie kosztować co najmniej 600 mld marek.

Czy można się dziwić, że przy takiej szczodrości bundeswera już dawno przekształciła się w najsilniejszą armię Europy Zachodniej? Siły zbrojne Republiki Federalnej są wyposażone, jak informuje „Biała Księga" ministerstwa obrony RFN, w nowoczesne systemy broni, „wytrzymujące wszelką konkurencję". Skład osobowy armii zachodnioniemieckiej liczy 495 tys. szeregowych i oficerów. 850 tys. rezerwistów może stanąć pod bronią w terminie trzydniowym. Na bundeswerę przypada połowa liczebności wojsk lądowych NATO w Europie Środkowej, 1/3 lotnictwa oraz 1/3 zachodnioeuropejskich sił wojennomorskich. Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć dalszą ewolucję tych proporcji na korzyść militarystycznych sił Niemiec Zachodnich.

Chodzi jednak nie tylko o potencjał wojskowo-techniczny i niemałą liczebność bundeswery. Z uwagi na strukturę i metody szkolenia należy ona ponad wszelką wątpliwość do armii ofensywnych. Kościec zachodnioniemieckiego wojska stanowią szybkie związki pancerne przystosowane do działań na głębokości operacyjnej. O ofensywnym charakterze bundeswery świadczą zarówno zadania taktyczne, jak i strategiczne cele, które przed siłami zbrojnymi Niemiec Zachodnich stawiają liderzy NATO, a ściślej Pentagon. W sposób szczególnie wymowny ujawniło się to w serii manewrów Paktu Północnoatlantyckiego pod łącznym kryptonimem „The Autumn Forge-84", w których przez cztery tygodnie ćwiczyło około 300 tys. szeregowych i oficerów na obszarze od Norwegii na północy, a do Turcji na południu. Jednakże główną areną tych manewrów były Niemcy

Zachodnie. 1/3 spośród 26 ćwiczeń odbyła się właśnie na ich terytorium.

Oto założenie manewrów „The Autumn Forge-84": „Wykorzystując element zaskoczenia, kilka tysięcy doskonale wyszkolonych żołnierzy państw Układu Warszawskiego przekracza granicę Niemiec Zachodnich na transporterach opancerzonych, niszczy mosty i linie przesyłowe oraz atakując stanowiska dowodzenia szerzy panikę i chaos. Oddziały desantowe, lotnictwo i rakiety atakują cele na terytorium Niemiec Zachodnich do Renu, a przez wyłom w zachodniej linii obrony wprowadzane są świeże dywizje. W ciągu kilku godzin nieprzyjaciel wdziera się do samego serca Niemiec Zachodnich, a tysiące żołnierzy wojsk sprzymierzonych i osób cywilnych znajduje się w sytuacji bez wyjścia poza linią frontu".

Mniej istotne są szczegóły wojskowo-techniczne i dramatyczne założenie ćwiczeń. O wiele większe znaczenie ma polityczne podłoże scenariusza przemyślanego w Waszyngtonie i Bonn.

Przeciwnikiem jest, rzecz jasna, Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne. Przy czym to on właśnie rozpoczyna agresywne działania. A więc propagandowym celem manewrów „The Autumn Forge-84" było przekonanie raz jeszcze mieszkańców Europy o istnieniu „radzieckiego zagrożenia wojskowego" i „agresywności Rosjan", żeby ponownie przesłonić tą kurtyną kłamstw kompleks pokojowych inicjatyw Kraju Rad i konkretne konstruktywne programy Związku Radzieckiego, zmierzające do zapobieżenia konfliktom wojennym. Zgodnie z intencjami autorów scenariusza „The Autumn Forge-84" „agresor wdziera się do samego serca Niemiec Zachodnich" i w ogóle „atakuje cele na całym ich terytorium". Ta właśnie okoliczność — podpowiadają stratedzy NATO — w pełni usprawiedliwia forsowną militaryzację Republiki Federalnej Niemiec, szybkie zwięk-

szanie potencjału bojowego bundeswery i wyposażenie jej w najnowocześniejszy sprzęt bojowy, a także rozmieszczenie na terytorium państwa bońskiego głównej części nowych amerykańskich rakiet nuklearnych średniego zasięgu, usprawiedliwia przekształcenie RFN w ewentualny teatr działań wojennych przy użyciu broni jądrowej.

Przebieg ćwiczeń wykazał, że autorzy planu „The Autumn Forge-84" wyraźnie podsycają rewanżystowskie ciągoty sił reakcyjnych Niemiec Zachodnich. Większość planowanych ćwiczeń odbyła się bezpośrednio w pobliżu granic krajów socjalistycznych, a „Spearpoint" — jeden z centralnych etapów tych manewrów — rozegrano w odległości zaledwie 10 kilometrów od granicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wojska rozwijano w sposób trudny do odróżnienia, czy chodzi o szkolenie, czy też o przygotowania do realnych działań bojowych na szeroką skalę.

Ćwiczenia na terytorium Niemieckiej Republiki Federalnej wykazały wzrost roli i potencjału bojowego bundeswery. Już podczas manewrów było, na przykład, wiadome, że zachodnioniemieckiemu generałowi Mackowi — jednemu z zastępców amerykańskiego naczelnego dowódcy wojsk NATO — powierzono opracowanie planów użycia w razie wojny broni jądrowej na skalę operacyjną. Nominacja Macka dodała energii tym kręgom w RFN, które domagają się zapewnienia Niemcom Zachodnim dostępu do tego rodzaju broni. Między innymi deputowany do bundestagu Jürgen Todenhöfer wezwał do utworzenia „europejskich sił nuklearnych", z tym żeby w ich dowództwie była również reprezentowana generalicja bundeswery.

Coraz szerszy rozmach manewrów organizowanych na terytorium RFN, ich jawnie antysocjalistyczne ukierunkowanie oraz podsycana psychoza wo-

jenna inspirują zachodnioniemieckich rewanżystów. Nieprzypadkowo z manewrami zbiegła się nowa fala odwetowych wystąpień w Niemczech Zachodnich. „Wiecznie wczorajsi" stawiają na bundeswerę, na konfrontację, w tym również konfrontację militarną, nie istnieją bowiem inne możliwości wcielenia w życie ich postulatów. Czy trzeba wyjaśniać, jakim niebezpieczeństwem grozi rozmieszczenie na terytorium Niemiec Zachodnich rakiet „Pershing-2" i pocisków manewrujących „Tomahawk" oraz dalsze uzupełnianie arsenałów rakietowo-nuklearnych nad brzegami Renu!

NIE UDA SIĘ COFNĄĆ KOŁA HISTORII



Europa odgrywa w dziejach naszego globu, zwłaszcza w obecnym stuleciu, rolę szczególną. Powszechny pokój jest nie do pomyślenia bez pokoju na kontynencie europejskim. Po drugiej wojnie światowej jałtańskie, poczdamskie i inne porozumienia z udziałem sojuszników z koalicji antyhitlerowskiej stworzyły trwałe zręby pokoju w Europie. Z uwagi na swoją treść miały one na względzie nie tyle czasy minione, ile przyszłość, zmierzając do zapewnienia sprawiedliwej i niezawodnej powojennej organizacji. Są one bezpośrednio powiązane z układami, które państwa socjalistyczne zawarły z krajami kapitalistycznymi w latach siedemdziesiątych, w tym również z układami podpisanymi w Moskwie, Berlinie, Warszawie i Pradze oraz z Aktem Końcowym KBWE, które po raz pierwszy przyniosły narodom poważną nadzieję na realne umocnienie bezpieczeństwa i stabilizacji w Europie.

Związek Radziecki był i jest nadal wierny swojej przysiędze złożonej nad pokonaną faszystowską swastyką i szczątkami hitlerowskiej machiny wojennej. Ślubowanie to — należy zdecydowanie walczyć o niedopuszczenie do nowej pożogi wojny światowej — nigdy nie utraci swej aktualności. Jeśli się to udawało w ciągu czterech dziesięcioleci, to w znacznej mierze

dzięki wysiłkom krajów niezłomnie wcielających w życie politykę pokoju między narodami oraz paraliżujących swoim autorytetem i wpływem na arenie międzynarodowej awanturnicze i agresywne zakusy, jakiekolwiek jest ich źródło.

Przyczynę wszystkich konfliktów światowych, których źródłem była Europa, stanowił imperializm, hegemonizm oraz egoistyczna ograniczoność niektórych kręgów politycznych, nie będących w stanie ocenić realnych następstw swojej awanturniczej polityki. Przez długi czas pokój na tym kontynencie uważany był za przerwę między wojnami i nawet wyrażano opinię, że „każde pokolenie powinno mieć własną wojnę". Całe tragiczne dzieje nawołują do wykluczenia na zawsze wojny z życia kontynentu europejskiego. Wymaga to zdecydowanych działań polityków, przedstawicieli kół gospodarczych, wojskowych, pacyfistów, uczonych, działaczy religijnych — wszystkich i każdego z osobna, albowiem pokój jest niepodzielny i niezbędny dla wszystkich.

Szczególne obawy narodów, przede wszystkim tych, które dwukrotnie w ciągu naszego stulecia poniosły wielkie straty w wyniku wojen światowych, budzi rozmieszczenie na terytorium RFN nowych amerykańskich rakiet nuklearnych, co ponownie stwarza niebezpieczeństwo rozpętania wojny z ziemi niemieckiej. Nikt spośród ludzi, którzy rozumują i działają z poczuciem odpowiedzialności i uwzględniają nauki historii, nie może się z tym pogodzić. Jednocześnie pojawienie się w RFN rakiet „Pershing-2" dodało pewności siebie ludziom, którzy snują wywody o „dalszym istnieniu Rzeszy Niemieckiej w granicach 1937 roku", nadal występują z roszczeniami terytorialnymi wobec Polski, CSRS i ZSRR, a także twierdzą, że „kwestia niemiecka" jest nadal kwestią otwartą.

Obecni odwetowcy nad brzegami Renu kształtują rodzaj platformy ideologicznej również dla tych, którzy z biegiem czasu przejmą na swoje barki ciężar władzy w Niemczech Zachodnich. Rewanżyści troszczą się, żeby przyszłe pokolenia nie zapomniały o „niesprawiedliwości wyrządzonej Niemcom". Ludziom, którzy nie wysnuli należytych wniosków z czasów minionych, wydaje się najwidoczniej, że znajdują się w poczekalni, żywiąc złudną nadzieję, że czasy te jeszcze powrócą.

Udostępniając swoje terytorium dla nowych amerykańskich rakiet nuklearnych, kierownictwo bońskie z trudem ukrywa chęć dysponowania tą bronią. Dyslokacja rakiet „Pershing-2" i pocisków manewrujących „Tomahawk" oznacza nowy pod względem jakościowym etap bońskiej „rakietowej odysei". RFN ze względów politycznych nie może pozwolić sobie jeszcze na posiadanie własnej broni tego rodzaju i dlatego z entuzjazmem wita amerykańską „obecność" rakietowo-nuklearną. Kolejnym etapem będzie współudział w decydowaniu o użyciu takiej broni w „godzinie X", a następnie własna kontrola i wreszcie — produkowanie we własnym zakresie broni masowej zagłady.

Doświadczenie historii uczy, że machina wojenna imperializmu niemieckiego, jeśli się jej umożliwi nabranie obrotów, ponownie potoczy się na kajzerowskich i hitlerowskich szlakach, szerząc dokoła śmierć i zniszczenia. Te plany „wiecznie wczorajszych" z Bonn są w obecnym układzie sił na arenie świata równie szaleńcze, oderwane od życia i samobójcze, jak i niebezpieczne dla sprawy pokoju, jeśli się bowiem ich nie udaremni energicznie i we właściwym czasie, to wówczas będą mogły zepchnąć ludzkość w odmęty nuklearnej pożogi.

Bezpieczeństwo Europy ma wiele składników. Jednakże najważniejszym z nich jest nienaruszalność

granic europejskich w postaci, jaką im nadały Jałta i Poczdam, a także układy, które kraje socjalistyczne zawarły z Republiką Federalną Niemiec. Ataki wymierzone przeciwko tym nader ważnym międzynarodowym aktom określającym oblicze współczesnej Europy są zakusami na bezpieczeństwo narodów. Związek Radziecki i wszystkie państwa socjalistyczne strzegą ich czujnie. Głęboko mylą się ludzie, którym się wydaje, że korzystając z międzynarodowego napięcia potrafią się zbliżyć choćby o krok do wcielenia w życie awanturniczych i odwetowych roszczeń. Zachodni rewanżyści nie powinni zapominać spóźnionego wyznania Seyss-Inquarta, jednego z głównych hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, powieszonego na mocy wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego: Niemcy w swoich własnych interesach nie powinny zmierzać do wojny. Niech się troszczą o to, żeby nikt nie włożył im broni do rąk.

Związek Radziecki uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby w Europie nie został zakłócony pokój, za który mieszkańcy Kraju Rad, a także inne narody zapłaciły tak wielką cenę. W imię tego ZSRR jest gotów do współpracy z wszystkimi, którzy dążą do złagodzenia niebezpieczeństwa wojny. Zmierzają do tego również propozycje krajów socjalistycznych, zgłoszone na konferencji w Sztokholmie, na rokowaniach wiedeńskich, genewskiej konferencji rozbrojeniowej i w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

To właśnie Kraj Rad wystąpił z propozycją najbardziej radykalną w sprawie powszechnego i całkowitego rozbrojenia w połączeniu z powszechną i całkowitą kontrolą. Prawdziwie zerowe rozwiązanie w kwestii środków rakietowo-nuklearnych na kontynencie europejskim również było dziełem Związku Radzieckiego. Kraj Rad wystąpił z propozycją likwidacji całej broni rakietowo-nuklearnej w tym regionie naszego globu, wykazując gotowość do zmierzania eta-

pami na tej drodze z zachowaniem do własnej dyspozycji na każdym przejściowym odcinku nie więcej środków rakietowo-nuklearnych niż kraje NATO. Związek Radziecki wystąpił również z jednostronnymi posunięciami w zakresie zaprzestania wyścigu zbrojeń jądrowych, zapraszając Zachód do pójścia za jego pokojowym przykładem. W 1982 roku oświadczono uroczyście, że ZSRR zobowiązał się w trybie jednostronnym do niestosowania broni jądrowej jako strona pierwsza. Decyzja ta, niełatwa do podjęcia, ma znaczenie wyjątkowe.

Związek Radziecki nadal wzywa inne mocarstwa dysponujące bronią jądrową, które jeszcze nie podjęły takiego kroku, do przyjęcia analogicznych zobowiązań. Byłby to również dostrzegalny, historyczny krok w dziele budowy międzynarodowego zaufania.

Zdając sobie doskonale sprawę, czym grozi ludzkości ewentualny konflikt jądrowy, Związek Radziecki stormułował normy, którymi mocarstwa nuklearne powinny się kierować. Proponuje się, żeby uznały one zapobieżenie wojnie nuklearnej za główny cel swojej polityki zagranicznej, nie dopuszczały do sytuacji grożących konfliktem jądrowym, a w razie powstania takiego niebezpieczeństwa podejmowały natychmiastowe konsultacje celem zapobieżenia nuklearnej pożodze.

Propozycje radzieckie obejmują także wyrzeczenie się propagandy wojny nuklearnej w każdym jej wariancie — globalnym lub ograniczonym; podjęcie zobowiązania o niestosowaniu broni jądrowej jako strona pierwsza, o nieużywaniu w żadnych okolicznościach broni jądrowej przeciwko krajom, które nie dysponują tą bronią i na których terytorium broń ta nie została rozmieszczona; obejmują respektowanie statusu już utworzonych oraz popieranie powstawania nowych stref bezatomowych w różnych rejonach świata.

Propozycje radzieckie zakładają niedopuszczanie do rozpowszechniania broni jądrowej w jakiejkolwiek bądź formie: nieprzekazywanie komukolwiek tej broni lub też kontroli nad nią; nierozmieszczanie jej na terytorium krajów, które tej broni nie posiadają; nieprzenoszenie wyścigu zbrojeń jądrowych do innych sfer, w tym również w przestrzeń kosmiczną. Wzywają one, aby krok za krokiem, na gruncie zasady jednakowego bezpieczeństwa zmierzać do redukcji broni jądrowej z jej całkowitą likwidacją we wszystkich odmianach włącznie.

Związek Radziecki był i nadal pozostaje zwolennikiem najbardziej zdecydowanych środków w dziedzinie ograniczenia zbrojeń oraz rozbrojenia. Państwa socjalistyczne zgłosiły odnośne konkretne propozycje, lecz w NATO nie dano im posłuchu. Polityka konfrontacji, którą prowadzą Stany Zjednoczone, RFN i inne kraje członkowskie Paktu Północnoatlantyckiego, jeszcze bardziej zaostrza napięcie. Nigdy jeszcze spirala wyścigu zbrojeń nie zmierzała tak ostro w górę, jak w chwili obecnej. Natomiast historia Europy uczy, że dążenie do rozbudowy zbrojeń zawsze stwarzało na tym kontynencie atmosferę, która się przyczyniała do konfrontacji i wybuchu wojen.

Nie należy zapominać, że nad brzegami Renu są działacze, którzy żywią równie urojone, co i niebezpieczne nadzieje na rewizję obecnych granic europejskich. Te rewanżystowskie nastroje są ostatnio podsycane oświadczeniami, w których podejmowane są próby kwestionowania zobowiązań uczestników koalicji antyhitlerowskiej. Związek Radziecki wzywa takich polityków do przeciwstawienia się tym niebezpiecznym sugestiom, wykazania politycznej dojrzałości oraz głębokiego pojmowania realiów. Nikt nie ma prawa obalać tego, co nie tylko stanowi kanon prawa międzynarodowego, ale również zostało po-

wołane do życia kosztem niezliczonych ofiar złożonych w minionej wojnie światowej.

Państwa socjalistyczne odpowiadają na potęgujące się niebezpieczeństwo wojny własną alternatywą — kursem zmierzającym do utrwalenia pokoju, do konstruktywnej współpracy wszystkich suwerennych krajów. Wzywają do podjęcia wspólnych wysiłków w tym kierunku wszystkie państwa — wszystkich, którzy się opowiadają za odprężeniem i występują przeciwko nuklearnemu szaleństwu.

Mylą się jednak głęboko ci, którzy przyjmują tę pokojową postawę, dążenie do rozwiązywania spornych problemów drogą rokowań za przejaw słabości, gotowość do cofania się pod naciskiem sił wojny i odwetu. Niech ci, co wątpią, nie zapominają nauk historii i nie łudzą się, że Związek Radziecki, który niósł na swoich barkach główny ciężar walki z faszyzmem w latach drugiej wojny światowej, nie potrafi udzielić w dobie obecnej miażdżącej odprawy każdemu agresorowi.

To stanowisko podzielają również te kręgi polityczne i gospodarcze na Zachodzie, które uzmysłowiły sobie, że konflikt nuklearny przyniósłby zarówno „zwycięzcom", jak i „zwyciężonym" straszliwe straty i spustoszenia, właściwie równoznaczne z zagładą całej ludzkości. Te kręgi zdają sobie sprawę, że decydując się na rozpętanie agresji z użyciem broni jądrowej i innych środków masowej zagłady kapitalizm naraziłby się na ryzyko własnej totalnej zagłady.

...Pierwszego października 1946 roku o godzinie 2 minut 52 czasu środkowoeuropejskiego w gmachu z drzwiami jak nagrobkowe płyty rozpoczęło się ostatnie posiedzenie trybunału norymberskiego. „W imię świętej pamięci milionów niewinnych ofiar faszystowskiego terroru — oświadczył w swoim przemówieniu radziecki oskarżyciel R. Rudenko — w imię utrwalenia pokoju na całym świecie, w imię bezpieczeństwa

narodów w przyszłości przedkładamy oskarżonym pełny i sprawiedliwy rachunek. Jest to rachunek całej ludzkości, woli i sumienia narodów miłujących pokój".

Sąd ustalił istnienie planu zdobycia przez hitlerowskie Niemcy panowania nad światem przez wyniszczenie i ujarzmienia narodów. Sąd ustalił, że nie był to przejaw złej woli poszczególnych jednostek, lecz zawinił reżym, system polityczny, polityka całego państwa, służąca interesom militarystów, przemysłowców i finansistów. W wyroku potępiono straszliwe zbrodnie faszyzmu, przywódców tego reżymu i krwawych hitlerowskich tyranów, napiętnowano i wyklęto zbrodnie faszyzmu wobec pokoju i ludzkości.

Proces norymberski stanowi poważną przestrogę dla ludzi, którzy ponownie opracowują występne plany rozpętania nowej wojny światowej. Zasady sformułowane w statucie trybunału zostały później potwierdzone w specjalnej rezolucji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych jako ogólnie uznane normy prawa międzynarodowego. Wiele poczynań ludzi, którzy podsycają rewanżyzm i nawołują do rewizji wyników drugiej wojny światowej, podlega odnośnym artykułom Statutu, wymieniającym przestępstwa najbardziej niebezpieczne dla ludzkości. W toku procesu norymberskiego wymownie wykazano całemu światu niebezpieczeństwo, jakim grozi ludzkości odrodzenie faszyzmu.

Główny oskarżyciel z ramienia USA w Norymberdze Robert Jackson stwierdził: „Zbrodnie, które staramy się potępić i ukarać, są tak rozmyślne, okrutne i mają tak niszczycielski wpływ, że cywilizacja nie może tolerować ich ignorowania, zginie bowiem, jeśli się te zbrodnie powtórzą".

Obecna sytuacja na świecie różni się, rzecz jasna, gruntownie od sytuacji, kiedy w Niemczech hitlerow-

cy doszli do władzy i zepchnęli ludzkość w odmęt światowej rzezi. Na czele sił pokoju i postępu społecznego stoi obecnie Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne, które dysponują wszystkim, co niezbędne do okiełznania każdego agresora. Wraz z nimi kroczy nabierający sił ruch antywojenny, w którym uczestniczą miliony ludzi z całego świata. Ale jednak i dziś konieczna jest ustawiczna czujność, aktywna walka z siłami faszyzmu i rewanżyzmu we wszystkich ich przejawach. Wszyscy mieszkańcy naszego globu nie powinni szczędzić sił w walce o triumf idei rozbrojenia i pokojowego współistnienia państw o odmiennych ustrojach społecznych, w walce o to, żeby rozum odniósł ostateczne zwycięstwo nad siłami reakcji i awanturnictwa. Militaryzm, faszyzm i rewanżyzm nie powinny mieć przyszłości, natomiast ludzkość musi być niezłomnie przekonana, że nawet jej najdalszych widnokręgów w przyszłych stuleciach nie zabarwi szkarłatem tragiczna łuna światowej pożogi.

77885

BIBLIOTEKA NAUKOWA ASP WP
Dział Zbiorów Ogólnych

4130



Rudolf KOŁCZANOW (ur. w 1932 r.) jest zastępcą redaktora naczelnego związkowej gazety „Trud" (Moskwa). Po ukończeniu Wydziału Prawa Uniwersytetu Moskiewskiego w 1955 roku podjął pracę dziennikarza. Przez wiele lat był korespondentem Radia Moskiewskiego i gazety „Trud" w RFN i Czechosłowacji; w ramach dziennikarskich delegacji służbowych oraz w sprawach związkowych odwiedził 40 krajów. R. Kołczanow jest znany radzieckim czytelnikom jako publicysta specjalizujący się w problematyce międzynarodowej i autor ciekawej pracy z historii zachodnioniemieckich monopoli pod tytułem „W pogoni za milionami". Systematycznie występuje na łamach prasy zagranicznej, poruszając aktualne problemy sytuacji międzynarodowej. Niniejsza broszura została napisana specjalnie dla Wydawnictwa Agencji Prasowej Nowosti.